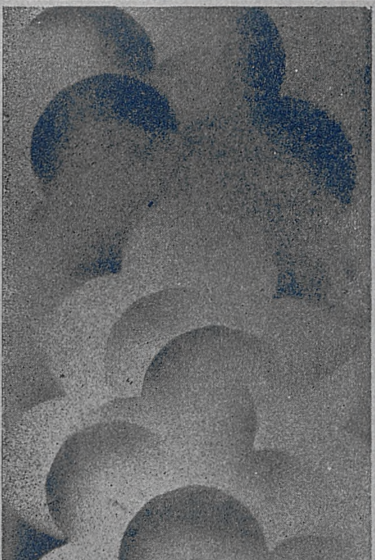
CENA ZŁ. 1 NUMER PODWÓJNY Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Peowiak

ORGAN ZWIĄZKU PEOWIAKÓW



Jadą ułani...



Beliniacy na patrolu pod Pęcławicami

ROK IV

WARSZAWA

Nr. 7-8 (29-30)

LIPIEC — SIERPIEŃ 1933

TREŚĆ NUMERU:

Peowiak

Nr. 7-8 (29-30) VII-VIII/33 Rok IV
ORGAN ZWIĄZKU PEOWIAKÓW

Dwadzieścia lat temu...



Na rok przed wybuchem wojny światowej, w sierpniu 1913 roku odbywały się w Stróżach pod Zakopanem ćwiczenia polowe strzelców, których Komendant Józef Piłsudski, mając u boku szefa sztabu ob. Sosnkowskiego, zaprawiał do przyszłej walki o Niepodległość...

6 sierpnia

Nad Europą gromadziły się ciężkie chmury. Oddawna już oczekiwano wojny rosyjsko - niemieckiej i wyglądano tylko z niepokojem, kiedy, z przeładowanych groźnem napięciem nieuniknionego starcia chmur, padnie grom. Zdawano też sobie sprawę z tego, że pożoga nie ograniczy się do Rosji i Niemiec — widoczne było bowiem z gorączkowych przygotowań militarnych, że ogień rozszerzy się gwałtownie, zapłonie nim cała Europa. Trwożniej zaś, niż w jakąbądź inną stronę spoglądano na Bałkany — to wieczne ognisko niepokoju i niebezpieczeństwa.

Aż nadszedł rok 1914 — rozpoczął krwawe żniwo wielkiej wojny. Pierwszy jej strzał padł znienacka w Serajewie, z ręki zamachowca — lecz był to tylko sygnał oczekiwany. W dniu 1 sierpnia wyruszyły w pole olbrzymie masy orężne, by rozegrać tę największą i najkrwawszą w dziejach ludzkości kampanję.

Oczekiwano, że zmieni ona kartę Europy — bo to wszak było jej celem; wiedziano, że rządy i narody będą walczyły o swą przyszłość mocarstwową, o swój stan posiadania; zdawano sobie sprawę, że kto pozostanie bezwolny i słaby w tych krwawych zapasach — może być zmieciony z powierzchni świata, jak nikłe źdźbło, że tylko silni ocaleją i zwyciężą. A taka właśnie martwa rezygnacja, taka krwawa i wielka ofiara niewolników - gladjatorów, ginących z woli swych panów — groziła Polsce. Stało przed Polakami widmo walki i śmierci w obcych mundurach, pod obcemi sztandarami, dla obcej sprawy.

Przewidział to wszystko Józef Piłsudski na wiele już lat przed wojną — i wytrwale budował polską siłę zbrojną, wbrew bezmyślnej i tchórzliwej apatji własnego społeczeństwa tworzył kadry armji narodowej. A, gdy nadszedł sierpień 1914 roku, rzucił swego żołnierza na szalę — i zwyciężył: bo znów, po półwiekowej ciszy, po zapomnieniu o naszem istnieniu od chwili stłumienia Powstania Styczniowego — rozbrzmiało w świecie potężnie słowo:

Polska! Polska, wstająca z letargu niewoli — do boju o swój byt, o swą niepodległość. Polska, której imię bagnetem swym wypisały wówczas w historji świata Legjony...

„Poszliśmy niewielką garścią ludzi, tem się różniąc od wszystkich innych, że ten niewielki strumień krwi, którybyśmy mogli przelać, chcieliśmy dać dla Polski. Nie dla kogo innego, a jedynie dla Polski. To nasza palma pierwszeństwa dla pracy dla Ojczyzny naszej".

Tak mówi o tem Józef Piłsudski. I dalej:

„Mieliśmy więc tę palmę pierwszeństwa. Staraliśmy się pokazać naszym rodakom, że jest rzeczą rozumną i rozsądną przelewać krew dla siebie, nie dla kogo innego. Ta palma pierwszeństwa jest naszą cechą historyczną".

„Gdym szedł 6 sierpnia w pole, nie szło mi o to, jak w szczegółach ma być rozstrzygana kwestja wojska w Polsce, lecz poprostu o to, czy wogóle żołnierz polski ma pozostać istotą mistyczną, pozbawioną krwi i ciała. Chciałem, by w wielkiej wojnie światowej, toczonej na polskiej ziemi, gdy żołnierz ze swym mundurem i bagnetem wedrze się do każdej niemal chaty i zagrody naszych wsi, żołnierz polski nie pozostał malowanką oglądaną przez grzeczne dzieci nieraz pokryjomu po kątach. Chciałem, by Polska, która tak gruntownie po 63 roku o mieczu zapomniała, widziała go błyszczącym w powietrzu w rękach swoich żołnierzy".

*

W krakowskich Oleandrach stanęły naprzeciw siebie w zwartym ordynku dwa szare oddziały, w rynsztunku, z bronią u nogi: to Strzelcy i Drużyniacy. Był to pamiętny dzień 3-go sierpnia. Na plac przybył Komendant Piłsudski. Krótki raport, przegląd oddziałów — i, wśród natężonej ciszy tego historycznego momentu, padają twarde, żołnierskie słowa:

„Od tej chwili niema ani Strzelców ani Drużyniaków. Wszyscy, co tu jesteście zebrani, jesteście żołnierzami polskimi! Znoszę wszelkie odznaki specjalnych grup. Jedynym waszym znakiem jest odtąd Orzeł Biały. Dopóki jednak nowy znaczek nie zostanie wam rozdany, rozkazuję, abyście zamienili ze sobą wasze dawne oznaki, jako symbol zupełnej zgody i braterstwa, jakie muszą wśród żołnierzy polskich panować. Niech Strzelcy przypną do czapek blachy Drużyniaków, a oddadzą im swoje orzełki. Wkrótce może pójdziecie na pola bitew, gdzie, mam nadzieję, zniknie najlżejszy cień różnicy pomiędzy wami"!

A gdy, w chwilę później, z zebranych oddziałów strzeleckich dokonał się wybór żołnierza tej pierwszej kompanji armji narodowej, Komendant go powitał jako Wódz, który miał powieść go do chwały i do zwycięstwa:

„Żołnierze!... — zaczął nagle surowym głosem. Spotkał was ten zaszczyt niezmierny, że pierwsi pójdziecie do Królestwa i przestąpicie granice rosyjskiego zaboru, jako czołowa kolumna wojska polskiego, idącego na oswobodzenie Ojczyzny. Wszyscy jesteście równi wobec ofiar, jakie ponieść macie. Wszyscy jesteście żołnierzami. Nie zaznaczam szarż, każę tylko doświadczonym wśród was pełnić funkcje dowódców. Szarże uzyskacie w bitwach. Każdy z was zostać może oficerem, jak również każdy oficer może znów zejść do szeregowców, czego oby nie było... Patrzę na was, jako na kadry, z których rozwinąć się ma przyszła armja polska i pozdrawiam was, jako pierwszą kadrową kompanję".

Tak narodził się w Oleandrach krakowskich Żołnierz polski.

*

Był szary świt 6 sierpnia, gdy znów stanęła w Oleandrach Pierwsza Kompanja Kadrowa. I, twardym, strzeleckim krokiem, ruszyła pierwszym swym marszem bojowym ku słupom granicznym, dzielącym od wieku ujarzmioną Polskę, ruszyła na wojnę z Rosją.

I szła tak do zwycięstwa swym krwawym, bohaterskim szlakiem przez długie, długie miesiące, a z nią — szły Legjony, ten pierwszy żołnierz odradzającej się Ojczyzny.

W stu bitwach i tysiącu potyczek mężniał żołnierz, na polu walki zdobywał swój chlubny tytuł Legjonisty.

Poprzez Kielce, Korczyn, Laski, Łowczówek, Jastków, Kostiuchnówkę i tyle, tyle innych bitew, z których każda po wieki okryła wawrzynem imię żołnierza polskiego — dążył uparcie Komendant na czele Legjonistów do Wolnej Polski. Cierniowa to i znojna była droga, pełna zawodów, zwątpień i goryczy, wśród zawiści wrogów i niewiary swego własnego społeczeństwa,



I Brygada w marszu pod Konarami.

wiodła przez bramy Magdeburskiej twierdzy i druty Szczypiorny, Benjaminowa i kraty Marmarosz-Szigiet.

Aż zawiodła Naród Polski — wbrew nawet niemu samemu — do wyzwolenia. Nadszedł dzień 11-go Listopada 1918 roku, rozpoczął się drugi etap dzieła Komendanta: praca w Odrodzonej już Ojczyźnie.

Ze słuszną dumą mógł później powiedzieć o swoich Legionistach Komendant:

„Żołnierz lubi triumfy, żołnierz lubi wawrzyny, żołnierz lubi jasne słońce zwycięstwa. Ja zaś prowadziłem was po cierpieniach, po turmach, które niejednemu serce i charakter łamały, bo ja się nie bałem, że wy się złamiecie. Ja byłem pewien, że tak, jak ja, wytrzymacie w najcięższych chwilach, że w najcięższych chwilach zostaniecie wiernymi Ojczyźnie, wiernymi, mężnymi, silnymi żołnierzami".

Żołnierze Komendanta dawali tego dowody już nieraz — i to, rzeczywiście, w chwilach bardzo ciężkich, gdy innym odwagi i ofiarności nie stawało. Nie inni są i dziś, zawsze gotowi iść na pierwszy ogień, na najtrudniejsze, najbardziej wysunięte, czy zagrożone posterunki.

Mija już 19 lat od chwili, gdy Komendant wyruszył w pole z Pierwszą Kompanją Kadrową — a można i dziś powtórzyć bez zmiany słowa pamiętnego rozkazu w pierwszą rocznicę 6 sierpnia.

„Żołnierze!

Rok temu z garścią małą ludzi źle wyposażonych rozpocząłem wojnę. Cały świat stanął wtedy do boju. Nie chciałem pozwolić, aby w czasie, gdy na żywem ciele naszej Ojczyzny miano wyrąbać mieczami nowe granice państw i narodów, samych tylko Polaków przy tem brakowało. Nie chciałem dopuścić, by na szalach losu, ważących się nad naszemi głowami, na szalach, na które miecze rzucano, zabrakło polskiej szabli.

Że szabla nasza była małą, że nie była godną wielkiego 20-miljonowego narodu, nie nasza w tem wina. Nie stał za nami naród, nie mający odwagi spojrzeć olbrzymim wypadkom w oczy i oczekujący w biernej „neutralności" jakiejś dla siebie od kogoś „gwarancji".

Żołnierze! Poszliście za moim rozkazem bez wahania, bez chwili namysłu czy los wasz nie będzie podobnym do losu tylu poprzedzających nas pokoleń żołnierzy polskich. Poszliście, by stanąć w obronie, jeśli już nie szczęścia Ojczyzny, to przynajmniej jej honoru.

Rok minął. Wyrobił się z nas ten typ żołnierza, jakiego nie znała dotąd Polska. Nie brawura, nie błyskotka żołnierska stanowi najistotniejszą naszą cechę, lecz ten przedziwny spokój i równowaga w pracy bez względu na przeciwności, jakie nas spotykają. Z młodego chłopaka w naszej atmosferze wyrabia się szybko spokojny, równy, stary żołnierz, przygotowany na długą i żmudną pracę, nie spalający się jak słoma w pierwszym, drobnym ogniu.

Żołnierze i towarzysze broni! Rok ciężkiej pracy minął! Pracy tak ciężkiej, tylu obstawionej przeszkodami, że gdy się obejrzymy na nią dziw bierze, że istniejemy, że dawno już rodzime bory nie szemrzą po nas swej pieśni żałobnej, po nas, po polskich żołnierzach wielkiej wojny 1914/1915 roku.

I teraz po roku wojny, jak w początku, jesteśmy tylko awangardą wojenną Polski, a także Jej awangardą moralną z umiejętnością zaryzykowania wszystkiego, gdy ryzyko jest konieczne.

Żołnierze! Dziś po roku wojny i pracy smutno mi, że powinszować olbrzymich triumfów Wam nie mogę, lecz dumny jestem, że dzisiaj z większym spokojem, niż rok temu, mogę do Was jak ongi zawołać: „Chłopcy! Naprzód! Na śmierć, czy na życie, na zwycięstwo, czy na klęski — idźcie czynem wojennym budzić Polskę do zmartwychwstania!"

I poszli. Swym czynem zbudzili Polskę do zmartwychwstania, pracują dla niej żywej, w szarzyźnie mozolnej pracy dnia codziennego tak, jak niegdyś pracowali w ogniu walki. I walczą dalej, na gruzach i zwałach odtrąconych przeszkód i przezwyciężonych przeciwności budując potęgę Nowej Polski — własną krwią wpisanej znów do księgi dziejów.

JANUSZ JĘDRZEJEWICZ

Wymarsz bataljonu warszawskiego

Lipiec 1915 roku w Warszawie był dla nas, peowiaków, specjalnie gorący. Zbliżał się kres panowania moskali w stolicy i świadomość tego przepełniała nas radością, a zarazem niepokojem. Niepokój ten związany był z jednej strony z zupełną prawie nieświadomością tego, co się działo za blisko leżącą linją frontu, z drugiej zaś dotyczył nastrojów i orjentacyj politycznych, panujących wśród naszego społeczeństwa. Zdawaliśmy sobie dobrze sprawę, że w naszych pracach wojskowych byliśmy odosobnieni, że za nami nie stoi nikt, czyj głos miałby wagę na rynku politycznym; że jesteśmy „szaleńcami“ Niepodległości w najlepszym razie, w gorszym zaś ludźmi austrjackiej lub niemieckiej orjentacji, a więc zbrodniarzami, którzy występują przeciw „naszym“ wojskom, przeciw idei połączenia ziem polskich pod berłem cesarza rosyjskiego, której to wiary wyznanie jedynie dawało patent prawomyślności politycznej i istotnego patrjotyzmu w oczach bezwolnej, bezsilnej, zahypnotyzowanej przez polityków endeckich Warszawy.

Byliśmy sami i było nas mało, to właśnie stanowiło naszą siłę. Każdy pracował za trzech, wyładowywał się w pracy bez zastrzeżeń, czując bezmiar leżącej na nim odpowiedzialności. Szkoły żołnierskie, podoficerskie i oficerskie, oddziały bojowe, praca polityczna i wydawnicza, magazynowanie broni, zbiórki i ćwiczenia polowe, praca mobilizacyjna — wszystko to w warunkach najsurowszej konspiracji, w czasie twardych praw wojennych — w mieście, zalanem wojskiem i władzami moskiewskiemi, które wiedziały, że idzie przeciw nim podziemna robota i przedsiębrały wszelkie środki ostrożności.

Pamiętam, że w ciągu paru miesięcy ja sam piastowałem cały szereg funkcyj i załatwiałem moc spraw najróżnorodniejszych, zajmujących mi czas od rana do nocy. Byłem reprezentantem P. O. W. w kilku ugrupowaniach politycznych, wspólnie z Janem Dąbrowskim prowadziłem tygodnik „Co tydzień“ gdzieśmy się starali przemycać artykuły przeciwrosyjskie, byłem członkiem redakcji paru pisemek konspiracyjnych, kończyłem jednocześnie szkołę podoficerską, a nadto byłem komendantem t. zw. „siódemek pepeesowskich“, które werbowałem, organizowałem i uczyłem zasadniczych wiadomości żołnierskich.

W związku z tą ostatnią pracą, która kosztowała mnie dużo sił i nerwów zarówno ze względu na ustawiczne niebezpieczeństwo wsypy, grożącej mi na każdej masówce robotniczej, jak i na fatalne warunki pracy instruktorskiej, przypomina mi się jeden przykry moment. Zwerbowanych przezemnie żołnierzy organizowałem w siódemki, które ćwiczyć musiałem w ciasnych, zastawionych meblami izdebkach robotniczych. Wyprawiało się na czas pracy rodziny i w ciągu paru godzin odbywały się wykłady organizacji armji, nauki o broni oraz zasadnicze ćwiczenia sekcji. Można sobie wyobrazić, jak trudno było w tych warunkach uzyskać zadowalniające rezultaty. Mimo wszystko jednak chęć do nauki była tak wielka, zainteresowanie tak znaczne, że czasy te należą do najmilszych momentów mojej pracy nauczycielskiej.

Otóż któregoś dnia, gdyśmy mieli wykład nauki o broni krótkiej w robotniczem mieszkaniu na drugiem piętrze, gdzieś w staromiejskiej dzielnicy (było to w ostatnich dniach lipca), a wszyscy moi chłopcy byli uzbrojeni w brauningi, mauzery lub nagany, usłyszeliśmy nagle krzyki na podwórzu. Wysłałem jednego z żołnierzy, aby się dowiedział, o co chodzi. Wrócił po chwili z wiadomością, że jakiś złodziej, uciekający przed goniącą za nim policją, wpadł w bramę domu, w którym pracowaliśmy, że brama z rozkazu policji została zamknięta, przed bramą znajduje się tłum gawiedzi, a wewnątrz policja przeszukuje po kolei wszystkie mieszkania.

Sytuacja była krytyczna. Wydałem natychmiastowe dyspozycje. Mieliśmy oczekiwać z nabitą bronią. Gdy policja zastuka do mieszkania, otworzymy drzwi, położymy policjantów, wypadniemy w gromadzie na podwórze, stróżowi każemy pod grozą brauninga otworzyć bramę, na ulicy zaś rozpierzchniemy się każdy w inną stronę. Jak dziś pamiętam, jak pobladły wszystkie twarze. Oczekiwaliśmy w milczeniu, wysyłając od czasu do czasu gospodarza na schody, żeby od zebranych na podwórku kumoszek dowiadywał się, co się dzieje. Dopóki trwała rewizja mieszkań parterowych, było jako tako. Momentem psychicznie krytycznym była wiadomość, że rewidują pierwsze piętro, nie znalazłszy złodzieja na parterze. Oczekiwanie trwało prawdopodobnie z pół godziny, i nie zdarzyło mi się nigdy przeżyć chwil tak dalece nieprzyjemnych, jak wówczas. I gdyśmy tak stali z bronią odbezpieczoną, gotowi do walki, w oczekiwaniu, że lada moment policja zjawi się u nas, usłyszeliśmy nagle na schodach krzyki, świadczące niedwuznacznie, że złodziej został znaleziony w mieszkaniu na pierwszem piętrze, akurat pod nami. Bramę otworzono, przestępca został w tryumfie wyprowadzony do cyrkułu, a my mogliśmy prowadzić w dalszym ciągu przerwaną naukę.

Jak wspomniałem, czuliśmy się w naszej pracy najzupełniej samotni w Warszawie. Jedynem oparciem naszem były tajemnicze Legjony Polskie, o których od czasu do czasu dochodziły mniej lub więcej prawdziwe wieści, jedynym autorytetem — Komendant Piłsudski — pierwsze i drugi opromieniony blaskiem tworzącej się legendy, o której słuchano w Warszawie z nieufnością, niechęcią, wrogo. Dziś, gdy oglądam się za siebie w odległość dziesięciu lat twardej pracy, szalonych zaiste tryumfów i klęsk ciężkich, przez które przeszliśmy, jako obóz ludzi walki, widzę tem wyraźniej, jak ciężkie podjęliśmy zadanie i uważam okres P. O. W. pod rosyjskim zaborem za najtrudniejsze zadanie z tych, które w ciągu lat wojny na nas spadło. To też żyło się w ustawicznej gorączce pracy i ryzyka. Wiadomości z frontu kazały oczekiwać w najbliższym czasie opuszczenia Warszawy przez moskali. W tym dłuższym lub krótszym międzyczasie, gdy już nie będzie wojsk rosyjskich, a austrjacko-niemieckie jeszcze wejść do miasta nie zdołają — wytworzyć się miała jedyna sytuacja, w której głos mógł należeć do nas. Nie mieliśmy bowiem żadnych złudzeń, aby społeczeństwo w swojej masie zdobyło się na akt woli i decyzji i byliśmy przekonani, że tylko my ową próżnię wojskową wypełnić potrafimy czynem o istotniejszych konsekwencjach politycznych.

Tak się też stało, a jeśli konsekwencje naszego wystąpienia nie były donioślejsze, wina to naszej słabej liczebności, jak również tej ślepej, bezrozumnej obawy przed własnem wojskiem Warszawy, dla której nawet widok pierwszych po powstaniu 63 r. żołnierzy polskich nie stał się drgnięciem serca i odruchem bodaj radości. I tego, że Legjony nie weszły do Warszawy.

Tymczasem jednak trzeba było dobrze uważać na siebie, aby doczekać szczęśliwie uwolnienia Warszawy. W pierwszych dniach sierpnia Warszawa była formalnie zaszpiclowana. Policja, żandarmerja, tajni agenci snuli się po ulicach w dzień i w nocy. Świateł na ulicach prawie nie palono i chodzenie wieczorami było rzeczą ryzykowną.

Miałem zawsze przy sobie nabity browning „na wszelki wypadek". Któregoś wieczoru miałem się spotkać w dzisiejszej Alei 3-go Maja z pewną peowiaczką. Na ulicy było pusto i dość ciemno. W czasie rozmowy zauważyłem jakąś skradającą się ku nam figurę. Tknięty złem przeczuciem, chciałem odchodzić, gdy nagle stanął przed nami wielki, gruby policjant i zażądał paszportów. Oboje mieliśmy przy sobie nasze dowody osobiste. Wobec ciemności, a wobec tego niemożności odczytania dokumentów, policjant kazał nam zejść na oświetlone schody wiaduktu. Przejrzawszy papiery, zdecydował, że „mimo wszystko", zaprowadzi nas do cyrkułu: (bumagi w poriadkie, a wy, wsio taki, pażałujtie w uczastok).

Na taką propozycję zgodzić się absolutnie nie mogłem, albowiem browning i te papiery, które miałem przy sobie, kompromitowały mnie i moją towarzyszkę najzupełniej. Sytuacja była zupełnie jasna: albo pójdziemy do cyrkułu i wtedy wsypa o zupełnie fatalnych następstwach, albo... Już sięgałem do kieszeni po browning, gdy zorjentowałem się, że w ostateczności ja mam szansę ucieczki po położeniu policjanta, ale moja towarzyszka ma ich znacznie mniej. Zacząłem mu tłumaczyć, że jestem spokojnym obywatelem, że nie ma powodu nas aresztować, wreszcie zaproponowałem mu łapówkę. Rozmowa trwała czas dłuższy i na szczęście dla nas, a przedewszystkiem dla policjanta, skończyła się zdrowym kompromisem: policjant wziął łapówkę, a ja z moją towarzyszką spokojnie poszliśmy ku Nowemu Światu. Mimo pomyślnego końca przygody nie mogliśmy do siebie przemówić ani słowa.

Wiadomości dochodziły, że Piłsudski ze swoją brygadą jest gdzieś pod Warszawą, że lada dzień zobaczymy szare maciejówki i kurtki strzeleckie. Te wieści, powtarzane z ust do ust, budziły nadzieję na jakieś postawienie sprawy polskiej, a ponadto pobudzały reakcję uczuciową, znużenie nikło, wyczekiwało się w skupieniu: kiedyż wreszcie...

Ewakuacja Warszawy odbywała się w całej pełni. Wiadomo było, że armja rosyjska się cofa, że mosty na Wiśle zostaną wysadzone w powietrze. Przechodziły kolumny moskali na Pragę — kładliśmy się spać 4-go sierpnia w nerwowem oczekiwaniu wydarzeń.



Komenda Naczelna P. O. W. w 1915 r. Siedzą od lewej: Miedziński, Żuliński (komendant Bataljonu Warszawskiego), Tomaszewski. Stoją od lewej: Wacław Jędrzejewicz, Zawistowski, Libicki, Kościałkowski.

Rano 5 sierpnia obudziłem się od huku wysadzanych mostów. Wyszedłem na miasto. Wojska rosyjskiego nie było. Wreszcie Warszawa była bezpańska, wolna, niczyja. Na jak długo? Odpowiedź nie dała na siebie czekać. Już koło 8-ej rano zobaczyłem w Alejach Jerozolimskich pierwszy patrol ułanów niemieckich: trzech jeźdźców z biało-czarnemi chorągiewkami na lancach. Jeszcze czas jakiś nadzieja, że prócz wrogów wejdą i nasi. Nadzieja zawiodła.

Zbiórka nastąpiła w prawem skrzydle pałacu Namiestnikowskiego. Mobilizacja peowiacka przeprowadzona została sprawnie. Już przed południem żołnierze byli uzbrojeni, warty zaciągnięte, komenda pracowała, a oddział się organizował. Uniesienie radości jednak przeszło. Pod pomnikiem Paszkiewicza stały już konie niemieckie, większa część gmachu zajęta została przez niemieckie wojska, ulicami maszerowały ze śpiewem kolumny piechoty i artylerji. Byliśmy w dalszym

ciągu sami, mała gromadka o nieodwołalnej decyzji, między ostrzeliwującą się z Pragi arjergardą jednych nieprzyjaciół, a wśród awangardy posuwających się oddziałów drugich.

Na szczęście zaczęła się praca tak intensywna, że na żadne rozważania polityczne czasu nie było. Nie było nawet czasu na rozmowę z politykami i przez parę dobrych dni byłem pozbawiony wszelkich wiadomości. Życie w koszarach, życie nowe, wymagało całkowitego oddania się sprawom uzbrojenia, wyżywienia, umundurowania i wyćwiczenia ludzi. Wkrótce musieliśmy opuścić pałac Namiestnikowski i przenieść się do dużego lokalu po jakiejś fabryce na Solcu.

Jak grom z nieba, spadła na mnie wtedy wiadomość o wstrzymaniu werbunku do Brygady. Miałem nawet z tego powodu kontrowersję z Hołówką na zebraniu, na którem, między innemi, chodziło o owe siódemki pepeesowskie, których byłem komendantem. Ludzie ci mieli być zatrzymani w Warszawie. Nie zgadzałem się na to, wiedząc, że są psychicznie nastawieni na wojnę, ponadto chodziło mi o to, aby Warszawa bodaj jaką-taką garść ludzi w pole wysłała, o stworzenie pewnego faktu dokonanego, któryby przecież mógł ostać się w historji.

Zresztą, mimo wszelkich zakazów, znaczna większość moich robociarzy karnie stawiła się do apelu. Wśród tej gromady wyróżniał się t. zw. Hrabia (nazwiska jego nie pamiętam), doskonały żołnierz, którego serdecznie polubiłem. Zabity został w pierwszej bitwie.

Czas upływał prawie wyłącznie w koszarach i na polu ćwiczeń; rzadko kiedy mogłem wpaść do ciężko wówczas chorej matki mojej, tak dalece pochłaniała mnie robota przy mojej sekcji.

Jednem z wydarzeń, które dały mi dużo emocji, był przyjazd Sieroszewskiego i Downarowicza; zamieszkali u nas w domu; pierwszy to raz słyszałem wówczas opowiadania uczestników walk legjonowych. Wiadomości o stoczonych walkach, opowiadane przez ludzi, którzy własnemi oczami patrzyli na nie, wywierały na nas potężne wrażenie. Zestawiało się ich radosną dolę żołnierską z naszą twardą rolą oddziałów, działających na tyłach nieprzyjaciela, schowanych głęboko w rzeczywistości wojennej, ukrywających się starannie przed rzeczywistością polską nawet.

To też niezależnie od naszej niewątpliwie bardzo ciężkiej sytuacji politycznej—bo złudzeń co do Niemców i Austrjaków nie mieliśmy żadnych — i niezależnie od niechęci własnego do nas społeczeństwa, przecież ulgę stanowiło to, że w naszych granatowych maciejówkach z biało - czerwonemi rozetkami, a wkrótce nawet w mundurach, któreśmy sobie na gwałt sprawiali, z bronią przy boku mogliśmy jawnie chodzić po mieście, że w czwórkowej kolumnie chodziliśmy do kościoła, witani zresztą przez przechodniów nieufnym i niechętnym wzrokiem. Były to w Warszawie czasy obrzydliwe, pod znakiem „powrotu taty".

T. zw. opinja publiczna nie mogła się pogodzić z odejściem moskali. Odgrywał tu, zdaje się, rolę nietylko i nie tyle żywiołowy wstręt do Niemców, i nietylko sympatje rosyjskie, tak pieczołowicie rozbudzane przez politykę endecką, ile poprostu bezwład przyzwyczajenia do potęgi rosyjskiej. I teraz w głowach mieszkańców Warszawy nie mógł się pomieścić fakt, że jest ktoś nad moskala silniejszy. To też przez długie jeszcze miesiące istniało bezwzględne przekonanie, że „tata" wróci, i ta wiara kazała Warszawie patrzeć na nas nietylko jako szaleńców, ale jako buntowników wobec prawowitej władzy. To nie przeszkadzało Warszawie być lojalną wobec Niemców.

Krótko mówiąc, nie zjednaliśmy sobie sympatji stolicy.

Przyjechał Komendant do Warszawy. Pobyt jego był zresztą bardzo krótki; wyjechał podobno na żądanie władz niemieckich. Chłopcy warjowali początkowo z radości, że go zobaczą. To się nie stało. A tymczasem mała maszyna wojskowa, jaką był organizujący się bataljon, absorbowała nas coraz mocniej. Przenieśliśmy się do świeżo ukończonej przez Moskali siedziby żandarmerji rosyjskiej. Dowództwo objął mjr. Żymierski. Zostałem zamianowany sierżantem i otrzymałem dowództwo plutonu w kompanji ppor. Wysockiego. Ostatni wieczór spędziłem w domu przy łóżku mojej matki.

Na drugi dzień raniutko 22-go sierpnia baon warszawski, pod dowództwem por. Żulińskiego, komendanta naczelnego P. O. W., w składzie czterech kompanij i trzystukilkudziesięciu ludzi, wymaszerował z Warszawy. Był śliczny poranek. Szliśmy z Żórawiej w kierunku mostu pontonowego, który Niemcy wybudowali powyżej wysadzonego mostu Poniatowskiego. Odprowadzała nas nieliczna gromadka krewnych, przyjaciół i znajomych. Szliśmy na wschód, celem spotkania się z pierwszą brygadą. Broń mieliśmy przeważnie rosyjską, mundury z zielonawego rosyjskiego sukna, w możliwie najgorszym gatunku (po tygodniu już zaczynały się rozłazić), buty źle dopasowane, trening marszowy prawie żaden.

Nastrój był podniosły. Szliśmy na wojnę, wojnę wymarzoną, o zaszczyt brania udziału w której walczyliśmy przez długie miesiące w ciężkiej pracy podziemnej. Słońce zalewało ulice Warszawy, jakby symbolizując swym blaskiem jawność naszego wystąpienia. Szła ta niewielka kolumna radości i ambicji żołnierskiej, zostawiając za sobą niepokój matek. Mijaliśmy tysiące jeńców rosyjskich z Modlina, eskortowanych przez Niemców w kierunku na zachód. Tak wyminęły się raz jeszcze dwa światy: swobodnej służby i niewoli.

Po przejściu przez miasto, już w otwartem polu, krótki wypoczynek. Pożegnanie się z bliskimi oraz ostateczne dopasowanie rynsztunku na marsz całodzienny.

Marsz trwał długo. Zbyt długo, jak na nasze niewytrenowanie, na nasze braki w ekwipunku, a przedewszystkiem na nasze nogi, które po dwóch dobach pokryły się olbrzymiemi pęcherzami, a następnie stały się jedną ropiejącą i bolesną raną. Mijaliśmy wsie i miasteczka, witani zdziwieniem — czasami, o dziwo, niespodziewaną serdecznością podlasiaków. Nocowałem wtedy na słomie w stodole, w sztywnych i uroczystych dworach, których właściciele z niechęcią, prawie pod przymusem, czynili niezbędne dla noclegu zarządzenia, w stajniach i oborach. Pamiętam zdumienie moje, gdy pierwszą wesz na sobie znalazłem. Dotychczas nie widziałem tych stworzeń zupełnie.

Byłem całkowicie zaabsorbowany moim plutonem. Wspominam dni marszu serdecznie. Z moich dwudziestu czterech chłopców dużo już nie żyje. Padł kapral Rózga (por. Zawadzki), zabity w czasie polskiej wojny przez Litwinów. Zginęli śmiercią żołnierską ob. ob. Hrabia, Czarny i wielu innych, których dziś nawet pseudonimów nie pamiętam, ale widzę ich twarze młode, czasami roześmiane, czasem natężone w wyrazie ciężkiego znużenia, zlane potem i przykryte kurzem, gdy zbliża się wieczór, słońce mocno pali, a ma się za sobą trzydzieści kilometrów drogi.

Takim forsownym marszem doszliśmy do Łukowa. Ledwieśmy się jako - tako roztasowali po zakazanych jakichś oborkach, gdy otrzymałem rozkaz stawienia się na przyjęcie, jakie społeczeństwo Łukowa urządza dla pp. oficerów.

Tyle, że umyłem twarz i, kusztykając na poranionych nogach, przyszedłem na owe przyjęcie. Było nas około dwudziestu z por. Barskim na czele. Ponadto por. Dąb-Biernacki (dziś generał), oraz por. Rzecki (zabity), którzy sami jechali z Brygady na „Hinterland".

Niedobrze pamiętam to przyjęcie. Widzę przed oczami zastawiony stół, twarze sąsiadek, które podobno coś do mnie mówiły, dużo światła... Miałem wrażenie, że zaraz zasnę. Z tego półprzytomnego stanu obudził mnie głos Żulińskiego, który w odpowiedzi na jakiś toast wygłosił krótkie i gorące przemówienie. Zakończył okrzykiem: „Zwyciężymy, lub nie wrócimy żywi". Nie wrócił.

Szukaliśmy brygady. Kilku kawalerzystów, którymi sztab nasz dysponował, pełniło ciężką służbę, wywiadując się wszelkiemi sposobami, gdzie może być brygada. Wiadomości doszły nas pod Białą Siedlecką, że brygada maszeruje z pod Wysoko-Litewska na południe. Wiadomość odrazu rozeszła się wśród żołnierzy, wywołując powszechną radość. Zespolenie się z brygadą, przejście pod rozkazy Komendanta — to miał być ostatni akt, który robił nas w naszem najszczerszem przekonaniu żołnierzami Rzeczypospolitej, istniejącej nie na mapie wprawdzie, nie w aktach dyplomacji międzynarodowej, ale w naszych sercach i w rękach naszego Wodza. To też zapał nas przeniknął, tembardziej, że miało się raz przecie skończyć poczucie samotności w Polsce, które przynajmniej niektórych z nas nie opuszczało ani na chwilę ani w konspiracyjnej Warszawie, ani wśród żołdactwa okupacji niemieckiej. Brygada była dla nas czemś wielkiem, czemś o własnej racji istnienia. Ostatni ten marsz szedł sprężyście, dziarsko i ochoczo.

Przed wieczorem przyszły rozkazy. Dzielono na nowo funkcje oficerów i podoficerów.

Pogrążyliśmy się w nadbużańskie lasy. Była już ciemna noc, gdyśmy się zbliżyli do biwakującej pod namiotami brygady. W chwili, gdy przechodziliśmy przez jakiś mostek, z ciemności tuż obok zabrzmiała melodja: „Hej strzelcy wraz"... To orkiestra 1 p. p. witała nas pieśnią strzelecką. Emocje tych minut nie dadzą się opisać. Stanęliśmy na obszernej polanie, oświetleni blaskiem pałących się ognisk. Wiara legjonowa z ciekawością nas otoczyła. Spotkałem szereg znajomych z Krakowa, młodszych moich kolegów z uniwersytetu, znacznie zresztą starszych odemnie służbą żołnierską i szarżą. Rozmowy, zapytania. Jedno z nich najboleśniejsze: „pocoście do nas przyszli?" Zarysowały się pierwsze zwątpienia i nadpęknięcia, ów krwawy znak zapytania, który do końca, do listopada 1918 roku stać miał ciągle nad nami i dorzucać do i tak twardego chleba żołnierskiego swoje ziarnka goryczy i zgrzytający w zębach popiół polskiej nędzy.

Noc tę przespałem pod jednym kocem z Wojtkiem Jastrzębowskim, trzęsąc się z zimna pod drobnym, ale gęstym deszczem.

Na drugi dzień zbiórka i wymarsz w kierunku na Włodawę. Gdyśmy wyszli z lasów na którymś zakręcie szosy zobaczyłem całą kolumnę. Wydała mi się krótka, mizerna, mała. Zrozumiałem, że nadzieje zawiodły, że brygada jest garścią tylko, nieliczną garścią szaleńców niepodległości, takich, jakimi byliśmy my, batalion warszawski.

W mocnem, istotnem ujęciu ujrzałem zadanie, któreśmy podjęli, jako rzecz naszej osobistej odpowiedzialności. Był Komendant, było parę tysięcy ludzi i praca do wypełnienia wśród obojętności współrodaków i olbrzymiej masy rozsianych po kraju wojsk obcych.

Brygada posuwała się ku Włodawie. Szosa cuchnęła od końskich trupów, gęsto po jej bokach rozsianych. Wsie przeważnie spalone. Chłopcy moi maszerowali w milczeniu. Zdawało mi się, że w skupionych twarzach odczytywałem własne przeżycia: bolesne i twarde. Słabości w nich nie było.

Uwięzienie Komendanta Piłsudskiego

Dnia 22 lipca minęła szesnasta rocznica uwięzienia przez Niemców Komendanta. Moment ten był bezpośredniem następstwem zadokumentowanego przez Komendanta Jego dymisją przeciwstawienia się zakusom niemieckim na nasze dążenia do Niepodległości. Od tej chwili skryta dotychczas walka okupantów z Komendantem i P. O. W. zamienia się w jawną a nieubłaganą kampanję mającą, w szesnaście miesięcy później zakończyć się ostateczną zwycięską dla nas rozgrywką — rozbrojeniem Niemców.

Dymisja Komendanta wywołała stanowczy zwrot w polityce zdrowo myślącego społeczeństwa, a duży przełom w Legjonach.

Dnia 22 lipca 1917 r. nad ranem aresztowano Komendanta i Jego szefa sztabu Sosnkowskiego.

Szybko wywieziono ich na dworzec główny, skąd w asyście oficera żandarmerji i kilku żołnierzy, okrężną drogą na Poznań, Tczew dojechano do Gdańska. Tu zamknięto Piłsudskiego w celi wojskowego więzienia dla szeregowych.

W międzyczasie obwieścił niemiecki generał gubernator w Warszawie, że aresztowanie Komendanta nastąpiło na podstawie „używania przez Komendanta fałszywego dokumentu podróży" a także „że Piłsudski jest notorycznym wodzem P. O. W., a Sosnkowski jego najwybitniejszym pomocnikiem" i, że „P. O. W. ma cechy spisku podziemnego" i t. p.

Dla ratowania „kraju" i zabezpieczenia tyłów walczących wojsk, aresztowanie Komendanta było rzeczą konieczną — kończy komunikat.

Przypadkowo dostała się do rąk Komendanta jakaś gdańska gazeta z tym komunikatem i natychmiast przez ręce komendanta więzienia wysyła Piłsudski protest, udowadniając, że posiadał legalny dokument podróży, wystawiony przez reprezentanta n. k. armji austr. przy warsz.-gen.-gubern. i wreszcie dokumentem udowodnił bezpodstawny zarzut Beselera.

Generał gubernator warszawski odwołał poprzednio podniesione zarzuty dnia 3 sierpnia 1917 r. na łamach „Warschauer Zeitung", gdzie umieszczono następujący komunikat:

„Przyaresztowanie Piłsudskiego i przywiezienie do niemieckiej fortecy spowodowały dyskusję, która zaciemnia istotny stan rzeczy.

Jak stwierdzono w Nr. 21 „Deutsche Warsch. Ztg.“, zarządzenie to nastąpiło, gdyż pod żadnym warunkiem poza frontem wschodnim — zresztą również i dla obrony Polski(?), za ciężko walczącemi wojskami nie można ścierpieć rzeczy, które na szwank narażają bezpieczeństwo wojskowe.

A tak postępowała tajna P. O. W., za którą w pierwszej linji Piłsudski ponosi odpowiedzialność.

On jest odpowiedzialnym za to, że postawa P. O W., która w początku, jak się wydawało, stopi się z powstającem nowem wojskiem polskiem, stawała się coraz bardziej nieprzyjacielską dla mocarstw centralnych i, że jej podziemne organy coraz bardziej drażniąco przemawiały. Jego obciąża, że P. O. W. w ostatnim czasie wydała instrukcję z licznemi wskazówkami, na mocy których miała być wprowadzona zaostrzona i zupełna konspiracja.

P. O. W. miała stworzyć tajne państwo w państwie z odpowiedniemi organami i przynależnych do tego tajnego państwa zobowiązać przysięgą do bezwzględnego posłuchu.

Notorycznie jest Piłsudski rzeczywiście głową P. O. W., stwierdzono ponadto, że do Departamentu wojskowego Rady Stanu, prócz swego przyjaciela Sosnkowskiego równocześnie i z równych powodów aresztowanego, wprowadził jako pomocników członków P. O. W.

Nie pozostawało więc nic innego, jak ująć go wraz z współwinnymi.

W związku z aresztowaniem jego, które nastąpiło ze względu na bezpieczeństwo wojskowe, była na tem miejscu mowa, że Piłsudski, przekraczając granicę Królestwa, wedle meldunku austrjackich władz, użył legjonowego dokumentu podróży, zaś jak dochodzenia tutejsze wykazały, taki dokument legjonowy nie istniał.

Obecnie okazało się, że Piłsudski był w posiadaniu wystarczającego austrjackiego dokumentu podróży, tak, iż nie wiadomo, dlaczego miałby się posługiwać nie tym dokumentem, lecz fałszowanym. Wobec tego nie jest wykluczonem, że u władz austrjackich zaszła omyłka i, że podejrzenie używania fałszywego paszportu jest bezpodstawne.

Aczkolwiek to podejrzenie przy aresztowaniu Piłsudskiego w stanowczej formie zostało ujawnione i na tem miejscu zostało powtórzone, nie zwlekamy, aby je na tem samem miejscu zdementować, stwierdzając równocześnie, że aresztowanie jego i współwinnych było koniecznością, celem zapobieżenia, aby — powtarzamy to raz jeszcze — w nowopowstającej Polsce poza plecami walczących wojsk, nie rozwijały się rzeczy, nie należące do żadnego prawnego ustroju państwowego“.

Komendant pozostał zatem w więzieniu! Po kilku dniach pobytu w Gdańsku przewieziono Piłsudskiego do Szpandawy, a po tygodniu wywieziono Go aż do twierdzy Wesel nad granicą Holandji.

Komendanta więziono i transportowano zawsze osobno a Sosnkowskiego, chociaż w tym samym dniu, jednak innemi pociągami.

Aresztowanie Komendanta wywołało w całym kraju ogromne wzburzenie. T. Rada Stanu zaprotestowała przeciw represjom niemieckim. Wszystkie stronnictwa i zrzeszenia polityczne potępiły ten gwałt okupantów. Koło Polskie w Wiedniu uchwaliło protest przeciw wywiezieniu twórców i wodzów legjonowych i zażądało natychmiastowego wypuszczenia aresztowanych.

Masowe protesty w Warszawie, Krakowie, Lwowie i na prowincji stały się coraz silniejsze, częste były starcia z policją, uchwały rad miejskich, zgromadzenia i cała ulotna literatura, powstała z tego powodu, zjednoczyły cały naród i uniemożliwiły na przyszłość jakąkolwiek koncepcję z Niemcami.

Tymczasem Komendant i Sosnkowski przeżywali ponure chwile w ciężkiem więzieniu pruskiem. Nie widywali się nigdy, ledwie przez dwie godziny dziennie pozwolono im spacerować na placu w cytadeli (naturalnie każdemu w innej godzinie), przed kratami żelaznemi umieszczono jeszcze siatki druciane, „tylko“ co dwie godziny zachodził posterunek nocny do izby i zapalając światło elektr. przekonywał się o obecności więźniów — a jednak mimo wszystko komenda twierdzy nie mogła wziąć na siebie odpowiedzialności za ewent. ucieczkę i o tem doniosła gen. gub. warsz.

Po otrzymaniu tej wiadomości, odniósł się gub. warsz. do min. wojny w Berlinie, by więźniów naszych natychmiast tak umieścić, aby wykluczoną była ucieczka.

Min. wojny zarządziło przeniesienie obu więźniów do Magdeburga, dokąd z końcem sierpnia 1917 r. obaj przybyli.

Po porozumieniu się gen. gub. wydano specjalne zarządzenia, które miały polepszyć pobyt w więzieniu. Komendanta umieszczono w małym domku, w środku fortecznego ogrodu, oddano mu 3 pokoje dość dobrze urządzone, traktowano Go poprawnie, udzielano książek, dawano gazety niemieckie. Strzeżono Go jednak aż nadto dokładnie i wszystko zarządzono, by uniemożliwić ucieczkę, czego tak strasznie się obawiano.

W rok potem, bo w sierpniu 1918 r. pozwolono Sosnkowskiemu razem zamieszkać z Komendantem i od tego czasu dola „więźnia“ poprawiła się.

Przyszedł listopad — rewolucja i klęska Niemiec, otworzyły sę wrota niewoli Komendanta, który z niemieckiego więzienia wracał do Polski, by stanąć na Jej czele i ująć w swe żelazne ręce ster Państwa.

W przedmowie do swej pracy „Moje pierwsze boje“ opowiada Komendant dzieje swe z czasów magdeburskich, a opuszczenie tego więzienia tak opisuje:

„Pewnego dnia w początkach listopada 1918 r., zjawili się dwaj oficerowie niemieccy ubrani już po cywilnemu. Oświadczyli nam, że jesteśmy wolni, i że mamy natychmiast wyjechać do Berlina, skąd o 6-tej wieczorem tegoż dnia odjeżdżamy do Warszawy.

Gdy zdziwieni, oglądaliśmy cywilny ubiór oficerów, powiedzieli nam oni z zażenowaniem, że rewolucja wybuchła w Magdeburgu i, że wyjedziemy autami, nie jako wojskowi.

Przepraszając, prosili nas bardzo, byśmy nie zabierali żadnych swoich rzeczy z sobą, gdyż obawiają się, że może to zwrócić uwagę manifestantów.

Nie wiem, cobym wówczas postanowił, gdyby w tem oświadczeniu oficerów nie było obietnicy, że już o 6-tej wieczorem będę siedział w pociągu, wiozącym mnie do Warszawy. Pod wpływem tej nadziei zdecydowaliśmy się z Sosnkowskim szybko. On wziął mały neseserek, ja wyszedłem z twierdzy magdeburskiej, zawinąwszy w papier najkonieczniejsze tylko przybory toaletowe.

Gdyśmy po przejściu, niby spacerkiem, niedalekiego mostu na Elbie przystanęli, zajechały dwa auta, które za chwilkę, w szybkim pędzie uniosły nas ze zrewoltowanego miasta“.

Tak więc posłannictwa Józefa Piłsudskiego nie mogły zniweczyć ani moskiewskie, ani pruskie więzienia!

JANUSZ LUBICZ

Dwie rewolucje

Od dawien dawna świat jest w stanie bezustannego wrzenia. Nie wszędzie objawia się to w ten sam sposób — jednak niemal wszędzie zachodzą głębokie przemiany, za których wspólne źródło uważany jest powszechnie światowy kryzys, nietylko gospodarczy, ale i polityczny. W jednych krajach przemiany te idą drogą spokojnej w powolnem tempie odbywanej ewolucji, w innych połączone bywają z gwałtownym wstrząsem socjalnym czy politycznym, z wybuchem prawdziwej rewolucji. W tej chwili jesteśmy świadkami aż dwóch naraz takich rewolucyj, napozór zupełnie odmiennych, bo jedna z nich wylewa morze krwi i zapełnia więzienia i obozy tysiącami skazańców, gdy druga odbywa się w zaciszu prezydenckiego gabinetu pracy i nie kosztowała jeszcze ani jednego życia ludzkiego. A mimo to — przeżywamy dziś dwie prawdziwe rewolucje: w Niemczech i Ameryce.

Przewrót hitlerowski w Niemczech oficjalnie został uznany za zakończony. Po szeregu miesięcy krwawych rządów reakcji i terroru, Hitler ogłosił „rewolucję narodową" za przeprowadzoną w całości i równocześnie obwieścił, że faktowi temu wszyscy muszą się podporządkować „lojalnie", bo w przeciwnym razie... grozi topór katowski. Oświadczenie to zostało zresztą poparte szeregiem iście drakońskich dekretów o „walce z wrogami niemieckiej rewolucji narodowej", z całą bezwzględnością grożących karą śmierci nietylko już za wszelkie zamachy na całość rządów hitlerowskich w „odrodzonych" Niemczech, nietylko za spiski, lub agitację, ale wprost, za myśli, wrogie obecnemu reżymowi! Przeciwko komu te krwawe, średniowieczne w swym duchu zarządzenia zostały wydane i co spowodowało, że ukazały się właśnie teraz, gdy — jak ogłoszono — rewolucja niemiecka została uwieńczona 100% zwycięstwem? Odpowiedź na to jest jasna i krótka: hitlerowcy zdają sobie sprawę z tego, że Niemcy stoją w obliczu drugiej rewolucji, kto wie, czy nie groźniejszej, krwawszej i nie brzemienniejszej w skutki od rewolucji Hitlera.

Rewolucja ta, wisząca dziś nad Niemcami jedynie na cieniutkim włosku strachu przed terrorem grupy rządzącej, miałaby najzupełniej inny charakter, niż jej poprzedniczka, do odrębnych też wiodłaby celów. Hitler wystąpił do walki, pociągając za sobą setki tysięcy swych szturmowców i — bądź co bądź — miljony wyborców hasłami rewolucji n a r o d o w e j i s o c j a l n e j. W haśle tem był równocześnie cały program przewrotu, polityczny i społeczny. A w szczegółowej „ideologji" hitlerowskiej, rozpowszechnianej po całych Niemczech w setkach miljonów ulotek i broszur agitacyjnych przez długie miesiące — obok reakcyjnego programu nacjonalistycznego, mieściło się też całe morze obietnic i zapowiedzi zupełnej, socjalistycznej przebudowy ustroju społecznego.

Od chwili wybuchu rewolucji upłynęło już wiele czasu i wiele krwi. Pierwszą, reakcyjną część swych zapowiedzi Hitler wciela w życie z bezwzględnością i okrucieństwem, które grozę rzuciły na cały świat cywilizowany. Komuniści, socjaliści, żydzi i wszyscy mieszkańcy Niemiec „obcej narodowości czy rasy", bo, nawet i ci z „narodowych" Niemców, którzy są zbyt mało entuzjastyczni wobec „brunatnych koszul" — tępieni są bezlitośnie. Całą masą okrutnych i nieludzkich rozporządzeń i ustaw Hitler przystąpił do „czyszczenia" rasy niemieckiej.

Ale pozostaje druga część dawnego jego rewolucyjnego programu, część społeczna: socjalizacja ustroju państwa, walka z kapitałem, danie pracy i dobrobytu wymęczonym tyloletnim kryzysem miljonom obywateli. Pierwsza połowa programu Hitlera pociągnęła do współpracy z nim dziesiątki tysięcy, marzące o przywróceniu reakcji, o odrodzeniu Niemiec Bismarcka i Wilhelma. Miljony jednak ściągnęła do Brunatnego obozu właściwie tylko ta druga, socjalna część jego programu. I miljony te spotkał gorzki zawód. Poza doryweczemi środkami, mającemi raczej charakter agitacyjny, poza stworzeniem obozów pracy, poza rozpoczęciem tu i ówdzie robót publicznych, wreszcie poza wypłatą żołdu brunatnym szturmówkom — naprawdę nie zrobiono nic realnego dla olbrzymiej, wielomiljonowej rzeszy bezrobotnych, dla mas robotniczych i pracowniczych.

Lecz tego niedość. Oto Hitler odwraca się od swych właściwych haseł, poprostu — wykreśla je ze swego programu, rewiduje zasadniczo swój dotychczasowy oficjalny stosunek — do pracy i kapitału. Już bez wahania oddaje świat pracy, który miał wyzwolić z pęt kapitalizmu, z powrotem w ręce światowi kapitału, a dyktatorską władzę nad całym przemysłem w najpotężniejszem, najważniejszem centrum przemysłowem Niemiec oddaje w ręce najzacieklejszego zawsze wroga wszelkiej socjalizacji i świata pracy. Tak rozpoczyna się w Rzeszy powrót do dawnej władzy kapitału.

I od tego właśnie momentu nad Rzeszą zawisła groźba „drugiej rewolucji narodowej". Niebezpieczeństwo nie grozi przytem Hitlerowi ani ze strony tępionych bez pardonu komunistów, ani zdziesiątkowanych i rozproszonych socjalistów, czy wreszcie masakrowanych i więzionych żydów — czynnikiem rewolucyjnym jest nie kto inny, jak dotychczasowa opoka, na której się reżym hitlerowski opierał: brunatne szturmówki. Tamci „wrogowie narodowych Niemiec" zbyt są w tej chwili ogłuszeni, zmaltretowani, rozbici, by móc się przeciwstawić — za to szturmowcy, pełni niezaspokojonych apetytów, którym Hitler obiecywał „złote góry", którzy oczekiwali przewrotu socjalnego — zawiedzeni, są elementem tak dziś groźnym dla swego wodza i jego przybocznego sztabu, że trzeba było aż ogłoszenia kary śmierci, aby stłumić w zarodku nadciągającą burzę buntu. Chwilowo to się udało, czy jednak na długo — należy wątpić. Druga rewolucja bowiem w masach faktycznie już się rozpoczęła.

Jakże inaczej wygląda przewrót, jakiego widownią jest Ameryka. Tam czynnik polityczny nie odgrywa w tej chwili żadnej niemal roli — na czoło zagadnień wysunął się kryzys gospodarczy i on to jest motorem wszystkich przemian. A przemiany te idą bardzo głęboko i jeżeli prezydentowi Rooseveltowi uda się je przeprowadzić według swego planu — będzie to największy i najryzykowniejszy eksperyment gospodarczy, jaki świat widział, eksperyment, który „do góry nogami" przewróci cały dzisiejszy ustrój społeczny Ameryki. Bo to, co prezydent Roosevelt obecnie robi — jest prawdziwą rewolucją. Inną zupełnie, niż w Niem-

czech, bo bezkrwawą — ale daleko głębiej sięgającą do podstaw życia, niż eksperyment hitlerowski.

Nowy „kodeks pracy" Roosevelta — oznacza całkowite przekreślenie dotychczasowego wybujałego indywidualizmu gospodarczego, sprowadzenie wszechwładnego od lat dziesiątków kapitalizmu amerykańskiego, dla którego nic nie istniało poza własnym egoistycznym interesem — do roli czynnika, podporządkowanego potrzebom państwa i społeczeństwa. Oznaczałoby to dalej wyrwanie amerykańskiego świata pracy ze szponów kapitalistycznego wyzysku, o jakim, mimo pozorów dobrobytu — nie śniło się nawet w Europie. Czy przytem ta rewolucja społeczna Roosevelta zatrzymałaby się tylko na tem, czy kolos amerykański, nabrawszy pędu, nie przekroczyłby granic, przygotowanych i zakreślonych mu w pracowniach naukowych prezydenta i jego doradców — trudno to dziś przewidzieć.

Z drugiej jednak strony, niewiadomo też, czy kapitał amerykański, choć chwilowo może zdezorjentowany niespodziewaną dla siebie sytuacją i przyciśnięty do muru, pozornie idzie Rooseveltowi na rękę — nie zniweczy całego tego planu. Są wszelkie dane, że będzie usiłował to uczynić w obronie swego zagrożonego stanu posiadania.

W każdym bądź razie rozgrywka w obu tych rewolucjach społecznych prawdopodobnie nie każe na siebie długo czekać.

Forpoczty tężyzny narodu

Nie od dziś już młodzież jest przedmiotem akcji politycznej walczących ze sobą grup starszego społeczeństwa. Czując zanik sił i energji, widząc z dniem każdym coraz dotkliwszy ubytek w swych szeregach — weterani życia politycznego starają się szeregi swe odmłodzić i wzmocnić. W poszukiwaniu żywego, tęgiego elementu do wypełnienia luk, sięgają do niewyczerpanego zbiornika sił, jakim jest zawsze młode pokolenie. I to właśnie jest dziś dla młodzieży tragedją.

Niezbrukana jeszcze brudem życia, niewypaczona bezwzględnością metod działania starszego społeczeństwa, podatna dla wszelkich porywów i ideałów — dusza młodzieży staje się terenem żerowiska dla partyj i grup, które chcą za jej pośrednictwem umocnić sobie w społeczeństwie grunt, usuwający się z pod nóg. Nie bacząc na to, jak fatalny, jak zgubny wpływ na wychowanie młodych obywateli narodu musi wywrzeć wciąganie ich w ogień swarów i walk — bez skrupułów robią z nich narzędzie, powolne swym celom, nie mającym nic z tych wzniosłych haseł, pracy i poświęcenia dla dobra ogółu, którym w istocie młodzież szczerze hołduje. Nadużywają dobrej wiary młodzieży, niezdolnej jeszcze do krytycyzmu i umiejętności wyłuskiwania brzydkiej, egoistycznej treści z osłonek pięknej frazeologji partyjnej.

Tę walkę o duszę młodzieży widzimy zresztą wszędzie: zarówno w Rosji sowieckiej, gdzie „komsomołcy" są najposłuszniejszym i najbardziej oddanym elementem wojującego komunizmu, jak w faszystowskiej Italji, gdzie młode „czarne koszule" są gwardją przyszłości Mussoliniego, jak wreszcie w „brunatnych" Niemczech, gdzie dzieciom już wpajane są hasła swastyki — nienawiści rasowej i narodowej. A gdy przypatrzymy się bacznie i zbliska temu, co dzieje się z naszą, polską młodzieżą — rzuca się nam również w oczy podobne zjawisko: walczące ze sobą, w imię wąskich, egoistycznych interesów, partje i grupy wszelkiemi siłami wciągają młodzież na swe ciasne i brudne podwórka, zachwaszczają jej jasny i uczciwy z natury światopogląd przywarami, których się później nie da wyplenić.

Doszło wreszcie do tego, że otumaniona przez agitatorów i emisarjuszy partyjnych, młodzież brała udział w gorszących awanturach i dzikich hecach politycznych, organizowanych przez ciemne indywidua, będące na żołdzie partyjnym, a godzących w najżywotniejsze interesy i dobre imię Polski w opinji świata. Doszło do rozwydrzenia politycznego wśród części młodzieży na wyższych uczelniach, ba — nierzadko nawet i w szkołach średnich. Położenie temu kresu stało się najpilniejszą koniecznością państwową.

I oto musiało przemówić Państwo, widząc, jak rak i zgnilizna anarchji i idei antypaństwowych, sztucznie szczepione, poczynają toczyć młode pokolenie, tę przyszłą kadrę pracy obywatelskiej. Minister oświaty, obywatel Jędrzejewicz, rzucił hasło bezwzględnej walki z szerzącem się w młodych szeregach złem, walki o duszę młodzieży i jej ratunek dla dobra interesów Państwa. Mimo wrzaskliwej kampanji partyjnej, mimo alarmów i demonstracyj — weszła w życie doniosła nowa ustawa o szkołach akademickich, mająca wyplenić szkodnictwo rozwydrzenia politycznego młodzieży.

Nie pozostało dłużne i społeczeństwo, a przedewszystkiem — sama młodzież. Odpowiedzią jej na partyjne zagony w jej szeregach był świetny rozwój organizacyj państwowo - wychowawczych, jak Legjon Młodych, jak Związek Strzelecki czy hufce szkolne, lub wreszcie — powstała obecnie Straż Przednia. Ta Straż — to przysposobienie obywatelskie przyszłej, czołowej kadry przodowników młodzieży i ofiarnego zastępu pracowników Państwa, to szkoła tężyzny.

Doniosły moment przeżywała Gdynia. Na jej pobrzeżu, w obliczu Morza, naszego okna na szeroki świat i współczynnika mocarstwowej potęgi Polski — 2000 chłopców i dziewcząt złożyło wobec Premjera Jędrzejewicza to piękne ślubowanie:

„W imię prawa naczelnego, dobra, honoru i potęgi Państwa Polskiego uznaję, iż praca jest źródłem wszelkich wartości, że karność i dyscyplina jest podstawą każdego zorganizowanego działania, że odpowiedzialność i samodzielność jest warunkiem twórczej i rzetelnej postawy obywatela, że braterstwo jest istotą współżycia zbiorowego, że prawdy te będą drogowskazem życia mego w służbie dla państwa".

Z powagą i wzruszeniem powtarzały te proste i mocne słowa 2000 młodych obywateli, zdając sobie jasno sprawę, że mieści się w nich nowa treść życia, że, rozpoczynając pracę pod tem hasłem — biorą w swe ręce spuściznę wielkiego dzieła tych ofiarnych tysięcy, jakie wywalczyły Polsce wolny byt wśród narodów.

Myśl o Państwie, którego dobro jest nam najwyższem prawem — to idea przewodnia Straży Przedniej, to rękojmia, że młodzież, która przejdzie przez tę szkołę, dobrze spełni w przyszłości swój obowiązek obywatelski. A z rozwojem Straży — zniknie w duszach młodzieży ostatni ślad obcego jej nalotu — partyjnictwa, nietolerancji i nienawiści. A gdy ta młodzież dorośnie i wejdzie w szranki życia — zetrze z jego powierzchni to wszystko, co leży kamieniem na drodze do potęgi Państwa i dobra społeczeństwa!

J. Delinikajtis.

WOJCIECH STPICZYŃSKI

W którą się obrócimy stronę?

W poprzednim numerze naszego pisma zamieściliśmy artykuł dyskusyjny ob. Kirkora o naszym programie społecznym i gospodarczym. Z kolei zwróciliśmy się do jednego z najwybitniejszych publicystów naszego obozu obywatela redaktora W. Stpiczyńskiego, który tak przedstawia swój pogląd na tę sprawę, do której zresztą jeszcze wrócimy:

Nie biorę czynnego udziału w życiu odnowionego P. O. W., od chwili wlania nowej treści w ostatnią literę tej dumnej nazwy, moje prawo zabierania głosu w jej sprawach jest tedy automatycznie ograniczone. Gdyby nie zaproszenie redakcji „Peowiaka" — jako szeregowy członek organizacji — powstrzymałbym się zapewne od zajmowania miejsca na tych szpaltach. Zostałem jednak zaproszony — oto dlaczego przemawiam.

Wyznaję, że w okresie przemyślań nad odrodzeniem P. O. W., sceptycznie oceniałem szanse realizacji tej miłej sercu koncepcji. Miłej sercu... Są przeżycia i symbole, które nazawsze, aż po zgon, składają się na bogactwo duszy ludzkiej. Cokolwiek już później miało nas doświadczyć goryczą zawodów, czy obarczyć ciężarem trosk — pokrzepiająca możność odwołania się do przeżyć promiennych, wspomnień heroizmu uwieńczonego zwycięstwem, dostarczać nam będzie rzeczywistej radości, potrzebnej dla wszczęcia twórczego wysiłku. Takie przeżycia zdobyliśmy wszyscy w P. O. W. pierwotnej, gdy była ona konspiracyjną armją narodową, utajonem zbrojnem ramieniem narodu, pozostającego jeszcze pod fizyczną władzą okupantów.

Odrodzić tę organizację, skrzyknąć i zebrać gromadę jej dawnych wychowanków, wprzęgnąć świetne i twórcze walory tej szkoły w służbę utrwalenia wolności, rzucić jej ideowy ciężar gatunkowy na szale rzeczywistości polskiej — oto była myśl przewodnia szlachetnych inicjatorów odrodzenia organizacji.

Osobiście oceniałem szanse tego wysiłku sceptycznie. Dlaczego? Ba! długoby o tem mówić. Napewno nie dlatego, bym nie życzył mu powodzenia. Lecz rzeczywistość polska na przestrzeni lat dzisiejszych od momentu automatycznego rozpłynięcia się Polskiej Organizacji Wojskowej w szeregach Armji Polskiej do chwili podjęcia próby odnowienia jej jako Polskiej Organizacji Wolności, następnie przeobrażonej w Związek Peowiaków, uległa głębokim przemianom. Zjawił się łańcuch cały nowych problemów, nowych zadań i doświadczeń. Nasunęła się przedewszystkiem konieczność zdecydowania czy odrodzona organizacja ma stanąć frontem ku przeszłości, ku przeżyciom w Polskiej Organizacji Wojskowej czy ku przyszłości Polski i to nie tej wymarzonej przed laty, lecz takiej, jaką się ona ukazała naszym oczom w próbie wolnego życia narodu, napełniając nas goryczą i zmuszając do zmiany koncepcji i metod pracy państwowej.

W pierwszym wypadku wydawało mi się, że raczej należałoby dążyć do wytworzenia wspólnej organizacji Legjonistów i Peowiaków, a to przedewszystkiem dla zwiększenia potencji elementu wnoszącego do życia społecznego, do rzeczywistości społecznej, psychologję rycerską, z której płynie siła odrodzenia ducha narodu, uczynienia go wolnym w jego własnem samopoczuciu. Z ustawienia się bowiem frontem ku przeszłości wyrastała koncepcja organizacji zamkniętej, skupiającej dawnych peowiaków i powołanie do przekazania masie społecznej walorów jednego pokolenia, —organizacji wraz z tem pokoleniem schodzącej z widowni życia i stającej się własnością historji.

Rozwinięcie zaś frontu ku przyszłości narzucało szerokie zadania wychowawcze, dążenie do jaknajszerszego rozpowszechnienia i przedłużenia, a zatem potrzebę ogromnej rozbudowy aparatu organizacyjnego w oparciu o stary, wypróbowany element peowiacki oraz wkroczenia szerokim frontem na teren młodego pokolenia, oczywiście we wszystkich przekrojach społecznych narodu.

Wymagałoby to, oczywiście, rozszerzenia naszej pracy organizacyjnej, przeszczepienia jej na szerokie masy społeczne, a przedewszystkiem na młodzież, stworzenia rozległych form organizacyjnych o dalekim zasięgu — tak, jak to zamierzała Polska Organizacja Wolności.

Przy takiem założeniu zadań Organizacja nasza winnaby była skupić w kierownictwie cały dysponowany do działalności społecznej, twórczy element peowiacki, wytworzyć tu potężny ośrodek wychowawczo - ideowego promieniowania, któryby objął pracę wychowawczą w Związku Strzeleckim, w różnych, ideowo pokrewnych nam organizacjach zawodowych młodzieży: rolnej, rzemieślniczej, robotniczej i t. d.

Porządek rzeczy układałby mi się w ten sposób, że organizacja młodzieży szkolnej „Straż Przednia" winnaby być naszym terenem pracy, tak samo akademicki „Legjon Młodych" byłby również „Legjonem Młodych P. O. W.". Członek „Straży P. O. W." przechodząc na studja akademickie wchodziłby automatycznie do szeregów „Legjonu Młodych P. O. W.". Dla poprzestających na szkole średniej możnaby ustalić obowiązek odbycia paroletniej służby w Związku Strzeleckim. „Legjonowi Młodych" Związek dawałby instruktorów przysposobienia wojskowego. Każda zresztą droga prowadziłaby chłopca do godności członka P. O. W., która skierowałaby go na odpowiadającą jego usposobieniu i możliwościom drogę służby społecznej.

W ten sam sposób członek Związku Strzeleckiego, opuszczający po odbyciu przeszkolenia i służby wojskowej tę organizację, stawałby się członkiem tej szerokiej organizacji, powołanej przez P. O. W. — związanym ideowo i organizacyjnie pionierem pracy społecznej, a przedewszystkiem zawodowej.

Oczywiście nie przyświeca mi ideał jakiejś organizacji na wzór faszystowski. P. O. W. w tej koncepcji nie wyrabiałaby u swych członków cech ekskluzywizmu politycznego. Jej treścią byłaby idea państwowa, ideowy stosunek jednostki do gromady społecznej i do własnego państwa. Chodziłoby więc o wytworzenie wielkiej szkoły dobrego obywatela, bez gwałcenia jego sumienia politycznego i sympatyj społecznych, a zatem o przelanie walorów szkoły Komendanta w masę społeczną, przez młode jej pokolenie.

Mam przekonanie, że idąc tą drogą, osiągnęlibyśmy na przestrzeni już kilkunastu lat rezultaty, które mogłyby mieć dobroczynny wpływ na rozwiązanie problemu ustrojowego, a które przedewszystkiem wyrugowałyby z psychiki narodowej stare wady szlacheckiej Rzeczypospolitej, tak znakomicie rozwinięte przez niewolę, a mianowicie: bierność wobec spraw publicznych i brak dyscypliny społecznej.

Obawiam się — może się zresztą mylę — że Związek Peowiaków nie zdecydował jeszcze wyboru jednej z tych dróg. Jeśliby tak istotnie było, uważałbym, że czas byłby najwyższy naprawić tę szkodę — dla dobra Polski i dzieła Komendanta.

Sylwja Borowska

TYM, CO SZLI PIERWSI...

(RYCERZE Z BAŚNI)

Wierzyć się nie chce, Was jeno kilku
szaleńców młodych w dziki hazard szło...
A choćby komuś opowiadać co dnia,
ta rzecz się zda je sennych rojeń chwilką,
tak fantastyczną, jak baśń jakaś wschodnia,
że nikt rozsądny nie chce wierzyć w nią.
Ci Legjoniści — to postacie z Pieśni,
opiewającej Herosów Homera —
bo nawet wiary nie dają współcześni,
że ich opowieść prawdziwa i szczera.
Do Epopei wprowadzić należy
tych spadkobierców Szaleńca Orlanda,
tych Piłsudczyków, straceńców rycerzy,
o których bracia mówili: „To banda.
Banda szalona, dla Polski szkodliwa —
wzięła już nieraz w bojach krwawy chrzest.
Jak Frydrusz Herburt sama się porywa
tam, gdzie potęga miljonowa jest".
Wierzyć się nie chce, żeście poszli sami
od społeczeństwa odwróceni zwad,
że Was tak chętnie zwano bandytami,
Was, których wielbić winien cały świat.
Chociaż niejeden jak bohater zginął,
taki ofiarny, kochający Syn,
wartości Waszym nie przyznano czynom,
zwalając na Was ciężar własnych win.
Ogół Was ganił, mało kto pochwalił,
biegowi sprawy często nawet wbrew —
Nie chciano sławić, gdyście zwyciężali,
za tchórzów — braci przelewając krew.
Wierzyć się nie chce, że na piedestale
nie postawiono Was, honoru wzór,
że urągali bracia Waszej chwale,
o własną wolność wiodąc z Wami spór.
Ach, jak zażarcie spierano się z Wami,
żeście zaborców powalili trzech —
żeście wolności byli szermierzami,
Wasz patrjotyzm piętnując za grzech.
Uwierzyć trudno, że nasi „mędrkowie",
gdy ich „rozsądek" na manowce wwiódł,
w „dyplomatycznej" i wykrętnej mowie
serwilizm podły wliczali do cnót.
RYCERZE Z BAŚNI — Wyście rzekli: „VETO!"
z życia swojego czyniąc hojny dar.
Bóg Was pokrzepił niebiańską podnietą,
podtrzymał wolę i pomocą wsparł.
Długie szeregi szczęśliwych pokoleń
szaleństwom Waszym będą składać cześć —
boście zdołali obalić złą wolę
i honor Polski na wyżyny wznieść.
Wierzyć się nie chce... a jednak uwierzą
Tym, co zdobyli najszczytniejszą z chwał —
Błogosławieństwo Wam, z BAŚNI RYCERZOM,
i kult Wasz będzie po wiek wieków trwał.

Budowa Pomnika Poległych Żołnierzy P. O. W.

Akcja gromadzenia funduszów na budowę pomnika Poległych Żołnierzy P. O. W. poczyniła już znaczne postępy. Sprzedaż książek p. t. „Pułkownik Leopold Lis-Kula" i zbiórka składek na listy, wydane przez Komitet Budowy Pomnika Poległych Peowiaków, przysporzyły już Komitetowi dochodu, który jednak w małym dopiero stopniu wystarczyłby na pokrycie kosztów wykonania i postawienia pomnika. Jeszcze nie do wszystkich peowiaków dotarły listy składkowe, ten i ów może zwleka jeszcze z wpłatą składki lub z nabyciem książki.

Najraźniej posuwa się zbieranie ofiar na budowę pomnika na terenie Koła Puławskiego, które zresztą pierwsze nadesłało listę składkową, zapełnioną pokaźnemi wpłatami. Z wielkiem uznaniem podnieść należy sympatyczny stosunek do sprawy budowy pomnika Poległych Żołnierzy P. O. W., z jakim Komitet spotkał się w Straży Granicznej, której komisarjaty podjęły ochotnie zbiórkę na pomnik i nadsyłają listy składkowe, wypełnione dziesiątkami nazwisk hojnych ofiarodawców. Nie powinniśmy dać się wyprzedzić w energji gromadzenia funduszów na budowę pomnika — naszym to wszak obowiązkiem jest wybudować ten widomy znak naszego hołdu dla poległych towarzyszów prac peowiackich i walk z najeźdźcami. Wszczętą przez Komitet akcję należy usilnie popierać i objąć nią wszystkich peowiaków.

Najlepszym dowodem jak dalece poczynania Komitetu budowy pomnika są popularne, świadczy list, jaki nadszedł od jednego z peowiaków, zamieszkałego obecnie w Berlinie. W liście tym czytamy m. in.:

„Przeczytawszy odezwę Komitetu Budowy Pomnika Poległych Peowiaków, zwracam się do Zarządu Głównego P. O. W. o łaskawe rychłe nadesłanie listy składkowej, bym mógł złożyć datek na tak wzniosły cel, a także między bliskimi duchem i ideą zebrać jeszcze więcej".

Tak piękne zrozumienie solidarności peowiackiej i potrzeby oddania hołdu poległym peowiakom drogą zebrania składek na budowę pomnika ku ich czci zobowiązuje peowiaków, zamieszkałych w kraju, do najbardziej wytężonej pracy w zbieraniu funduszów na pomnik i do wpisania swych nazwisk na listy składkowe Komitetu.

Dzieło, podjęte przez Komitet budowy pomnika na skutek inicjatywy gen. Śmigłego-Rydza wystawia nasze cnoty peowiackie na próbę. Wytrzymać ją musimy po peowiacku — żadnego więc peowiaka nie może brakować wśród tych, którzy datkami swymi przyczynią się do wzniesienia pomnika.

W pierwszych dniach sierpnia b. r. Komitet wydaje pocztówkę, na której widnieje model pomnika. Dochód ze sprzedaży tej pocztówki przeznaczony jest na fundusz budowy pomnika. Cena, 20 groszy, pozwala na nabycie jej każdemu. W celach propagandowych peowiacy powinni korespondować przedewszystkiem na tych pocztówkach. Do nabycia będą w Kołach Związku Peowiaków i w Komitecie Budowy Pomnika Poległych Peowiaków, Warszawa, ul. Złota 30, m. 4, tel. 698-53.

Wszelkie wpłaty na fundusz budowy pomnika należy dokonywać na konto czekowe Komitetu w P. K. O. Nr. 8.486. Osoby, zajmujące się zbiórką na listy składkowe lub sprzedające książkę, proszone są o zaznaczanie na środkowym odcinku blankietu P. K. O. numerów list i książek, których dotyczy wpłata.

KONFERENCJA EKONOMICZNA W LONDYNIE

Konferencja londyńska, która miała doprowadzić do porozumienia między narodami walczącemi zajadle na polu ekonomicznem, zamarła niesławnie ku powszechnemu rozczarowaniu. Agonja jej rozpoczęła się od chwili ogłoszenia sensacyjnej deklaracji prezydenta Roosevelta. Cios ten był niewątpliwie śmiertelny, ale niemniej do szybszego zgonu jej przyczynili się i inni „lekarze" chorego świata. Przysłuchiwali się oni coraz powolniejszemu „biciu serca" konferencji, ale nic nie uczynili, aby podniecić to słabnące tętno i wzmocnić jej organizm. Niesłusznie zatem przypisuje się winę uśmiercenia konferencji wyłącznie Ameryce. Jakiż bowiem jest rezultat całomiesięcznych debat w kwestjach, w których mimo opornego stanowiska Ameryki, można było doprowadzić do porozumienia międzynarodowego? Dyskusje te nie dały żadnego wyniku. Nawet nie udało się uratować pozorów, że konferencja coś wypracowała praktycznego. W ogólnych sprawach gospodarczych elita światowych mężów stanu i najtęższych ekonomistów nie osiągnęła jakichś najmniejszych widoków porozumienia. Interesowało wszystkich pytanie: nie — co uchwali konferencja? lecz — co się z nią stanie? Dlatego też wyniki prac komisyj i licznych podkomisyj i subkomitetów konferencji wypadły niezwykle blado. Komisja gospodarcza — po walutowej najważniejsza — prawie nic nie uczyniła dla usunięcia barjer w handlu międzynarodowym. Polityka handlowa wykazała całkowitą zależność od polityki walutowej. Nadzieje na zawarcie porozumienia, któreby zniosło wygórowane cła, rozwaliło barjery zakazów, restrykcyj wymiennych i innych przeróżnych utrudnień, hamujących handel międzynarodowy, zostały zdruzgotane. Nie pomogło nawet ogłoszenie rozejmu celnego na czas trwania konferencji, gdyż kilka państw, mimo złożenia odpowiednich deklaracyj, pod płaszczykiem innych, formalnych zarządzeń, wzmocniło właśnie w tym czasie „rozejmowym" swe zapory celne. Obecnie sytuacja przedstawia się jeszcze gorzej. Program bowiem Roosevelta podniesienia płac zarobkowych w Ameryce prowadzi w konsekwencji do podniesienia ceł St. Zjednoczonych. Nawet w drugorzędnych kwestjach ekonomicznych, obchodzących pewną tylko liczbę państw, rezultaty narad są nikłe. Ogólna umowa zbożowa nie doszła do skutku, a porozumienie w sprawie eksportu pszenicy nie jest pełne. Próbowano załatwić sprawę eksportu drzewa: doprowadzono zaledwie do stwierdzenia, że państwa zainteresowane skłonne byłyby do prowadzenia dyskusji na ten temat. Sprawę porozumienia węglowego wogóle odroczono na 6 miesięcy, uchwalając zwrócić się do Ligi Narodów o zwołanie odpowiedniej konferencji, jeżeli w ciągu sześciu najbliższych miesięcy nie zajdzie w tej sprawie nic nowego. Oczywiście, że nic nowego nie zajdzie, bo walka konkurencyjna na głównych rynkach importowych trwać będzie nadal zaciekle. Porozumienie globalne w kwestji cukru również zawiodło, próbowano więc porozumieć się w kwestji cyny, a gdy i do tego porozumienia nie doszło, zaczęto dyskutować o... kawie.

Konferencja odroczyła się na okres trzech miesięcy, to znaczy na czas, w którym wielki eksperyment rooseveltowski wyda takie czy inne owoce.

Ale niesłusznie byłoby pomawiać konferencję, że nie przyniosła nic światu. Stwierdziła ona ponad wszelką wątpliwość, że wszelkie porozumienie gospodarcze w skali światowej niemożliwe jest do osiągnięcia bez uprzedniego ustabilizowania walut. Podkomisja monetarna doprowadziła do jednolitego poglądu, na który zgodziła się także Ameryka, że do ostatecznej stabilizacji pieniądza prowadzi jedyna droga — przez powrót do standartu złota. Zanim jednak będzie to możliwe do przeprowadzenia na całym świecie, każde państwo u siebie musi zaprowadzić jaknajlepszy porządek we wszystkich sprawach gospodarczych. Wybór środków prowadzących do tego porządku pozostawiono do uznania indywidualnego państw.

Jakież to mogą być środki? Wobec niemożliwości osiągnięcia porozumienia, aby wspólnemi siłami zwalczyć depresję, każde państwo skazane zostało na własne siły. Oznacza to dalszą obronę przed wszystkiem, co może szkodzić w mniejszym lub większym stopniu gospodarce krajowej Oznacza to utrzymanie wojny celnej pod wszystkiemi jej dotychczasowemi postaciami. Jest to więc jakby stwierdzenie konieczności porzucenia liberalizmu gospodarczego i poddania gospodarki krajów pod rozkazy władz naczelnych. Jest to nieomal oficjalne uznanie konieczności interwencji rządów w całokształt i we wszystkie szczegóły życia gospodarczego państwa. W jaki sposób mają rządy obronić gospodarkę swych krajów przed bankructwem i jaką stosować politykę? Ekonomości świata nie znaleźli innego sposobu tylko... samowystarczalność. Polityka autarchiczna doznała więc ogromnego wzmocnienia. Autarchja stała się nowem bożyszczem świata, które ma uratować jego gospodarkę. Nie przesądzając, czy i dla jakich państw ta polityka autarchiczna jest błędna a nawet wprost zabójcza, należy stwierdzić, że wysunięcie jej wypłynęło z największego i bodaj jedynego realnego rezultatu konferencji londyńskiej. Rezultatem tym jest rozbicie wszelkich iluzoryczną posiadających wartość koncepcyj ratowania świata, unicestwienia wszelkich nadziei na łatwe wybrnięcie z kłopotów. Fiasko londyńskiej konferencji przyniosło wraz z sobą ten rezultat, że cały świat wie o tem obecnie aż za dobrze, że trzeba porzucić wszelkie miraże a wziąć się nanowo do roboty.

Niewątpliwie że taki wynik konferencji, aczkolwiek ujemny lepszy jest od jakichś nikłych, nic nie mówiących ogólnikowych rezolucyj i papierowych postanowień, których nikt z umawiających się nie miałby zamiaru wprowadzać w życie.

Gdy premjer Mac Donald, który pławił się w honorze prezydowania na światowej konferencji, zamknął jej obrady uderzeniem młotka, z piersi delegacyj 66 narodów wyrwało się westchnienie ulgi, które brzmiało: nareszcie. Ale i pan Mac Donald, ten wielki optymista, nie mógł ukryć, że wyniki konferencji są nikłe. Delegaci zaś wielkich państw jak Anglji, Francji, Włoch, dalej Holandji i innych, przemawiając tuż przed zamknięciem konferencji, podkreślili ten wręcz tragiczny bilans obrad długich 45 dni.

Jedynie tylko przedstawiciele Ameryki, zgodnie z ostatnią deklaracją prezydenta Roosevelta, dali wyraz swym optymistycznym nadziejom. Roosevelt w orędziu swem nie przyznaje się do uśmiercenia konferencji i dowodzi, że żyje ona w dalszym ciągu, że dokonała wielkiego dzieła i otworzyła możliwości zbawczych porozumień. Rządowi St. Zjednoczonych chodzi bowiem o ożywienie życia gospodarczego w swoim kraju; dopiero potem Ameryka skłonna jest przystąpić do międzynarodowych porozumień. Nie chce więc zrywać ostatecznie z całym światem, zachowując sobie furtkę wyjścia.

Prezydent Roosevelt w międzyczasie prowadzi energiczną politykę autarchji gospodarczej Ameryki, uważając że St. Zjednoczone mogą być samowystarczalne gospodarczo i dobrobyt ich zależy wyłącznie od ich wewnętrznego zorganizowania gospodarki na nowych zasadach. Dewaluacja dolara zgodnie z jego przewidywaniami podniosła ceny surowców. Jednocześnie wyciągnęła ze schowków domowych stezauryzowane pieniądze, przywracając je obrotowi gospodarczemu. Spadek kursu dolara i druk nowych papierowych pieniędzy stał się równoznaczny ze ściągnięciem ze społeczeństwa amerykańskiego znacznego podatku majątkowego, którego w inny sposób skarb państwa nie otrzymałby w tak dużej sumie i w tak szybkim czasie. Uzyskane sumy można obecnie obrócić na wielkie roboty i akcje, prowadzące do ożywienia przemysłu i zmniejszenia bezrobocia. Ale sam wzrost cen nie wystarcza do ożywienia wewnętrznych obrotów gospodarczych. Trzeba do tego koniecznie wzrostu zakupów. Jakże można zmusić społeczeństwo do zwiększenia konsumcji? Roosevelt postanowił i tego dokonać nakazem. Wykorzystał on „czarny dzień" krachu giełdowego w Ameryce. Spekulacja, a po

części i przemysł, niezadowolone z działalności Roosevelta, który zamierza ustawowo ustalić czas pracy i płace w przemyśle i handlu, zorganizowały i pogłębiły jeszcze wywołany zastojem w przemyśle, deficytem budżetowym i dewaluacją, krach giełdowy. Wszelkie walory straciły raptownie na kursie. Nastąpił katastrofalny spadek cen, który przetasował wszelkie wartości. Krach ten przypominał najczarniejsze dni paniki na giełdzie nowojorskiej. Majątki przesunęły się w ciągu kilku godzin z jednych rąk do drugich. Powstali nowi miljonerzy, dawni stracili na znaczeniu. Prezydent Roosevelt pominął milczeniem ten akt do pewnego stopnia sabotażu ze strony kapitalistów. Ogłosił on swój plan uzdrowienia życia gospodarczego Ameryki. Plan zawiera generalny kodeks pracy, jednakowy dla wszystkich gałęzi produkcji i jednakowe warunki płacy. Chodzi w nim o podniesienie zarobków do podniesionych już cen, które jednak mają być na tym poziomie utrzymane. W tym kierunku wywierany jest wszelkiemi możliwemi sposobami propagandowemi wielki nacisk moralny na całe społeczeństwo, które ma opierających się temu planowi postawić pod pręgierz opinji i zastosować względem nich bojkot gospodarczy i towarzyski. Przez zmniejszenie godzin pracy i podjęcie nowych robót Roosevelt pragnie do zimy tegorocznej zatrudnić 6 miljonów bezrobotnych. Czy uda się ten fantastyczny plan w kraju wszelkich możliwości, jakim jest Ameryka — niewiadomo. Wszystko zależy od obywatelskiego stanowiska przemysłowców, od tego czy ponad swój egoizm kapitalistyczny, przełożą dobro kraju.

Europa zaś, zostawiona sama sobie, bacznie obserwuje rozwój sytuacji w Ameryce, przechodząc do coraz ostrzejszej autarchji, porzucając resztki urządzeń liberalnych w handlu tak, jak to się dzieje w Anglji, ostoi liberalizmu, gdzie mianowano dyktatora żywnościowego. Ale nietylko każde państwo u siebie zaprowadza obronę, kraje grupują się do wspólnej obrony: powstał więc blok 6-ciu, uznających parytet złota i gotowych do obrony swej tezy i swych walut, powstaje pocichu, jak zwykle w Anglji, blok funta sterlinga. Wszystko ma na celu obronę przed zdewaluowanym dolarem. Zdaje się, że w tym ogólnym chaosie gospodarczym, najspokojniej i najpewniej rozwija się życie gospodarcze w krajach, które nie poszły na drogę eksperymentów radykalnych, a zachowując równowagę budżetową i stałość swej waluty, obniżając poziom życia do zmniejszonych możliwości zarobkowych, od nowa rozbudowują swoje życie gospodarcze. Do krajów tych nielicznych należy i Polska.

A. Zambrzycki.

Komunalna Kasa Oszczędności pow. warszawskiego

Na mocy Dekretu P. Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 13/III.27 r. powołany został do życia przed 4½ laty Zakład pieniężno-kredytowy o cechach użyteczności publicznej w postaci Komunalnej Kasy Oszczędności (K. K. O.) pow. warszawskiego z siedzibą w Warszawie.

Instytucja ta, wyposażona w pupilarną gwarancję, której statutowo udziela Związek Poręczający — Sejmik Powiatowy (26 gmin podstołecznych oraz 5 miast) ma na celu gromadzenie oszczędności, a w wyniku tego uprzystępnianie kredytu taniego dla ludności podstołecznej.

Dotychczasowa—cztero i półletnia działalność K. K. O., choć przypadła na okres powszechnie notowanego kryzysu gospodarczego, dowiodła atoli pełnej żywotności tej nowo założonej placówki finansowej, jak o tem dowodnie świadczą cyfry niżej przytoczone, obrazujące niezahamowany niczem wzrost lokat i wkładów K. K. O.

	zł.	wkładców
1/I.1929 r.	229.630	360
„ 30 r.	2.111.367	1.763
„ 31 r.	7.409.697	5.966
„ 32 r.	10.990.673	16.013
„ 33 r.	13.280.271	20.309
20/VII.33 r.	16.350.000	24.100

Dla ugruntowania swej działalności i jej zespolenia z ważniejszemi ośrodkami życia podstołecznego posiada K. K. O. własne Oddziały w Pruszkowie, Piasecznie, Jeziornie i Nowym Dworze.



Siedziba K. K. O. pow. warszawskiego przy ul. Zgoda 7.

Wydatna pomoc kredytowa K. K. O., zmierzająca do ożywienia życia gospodarczego w osiedlach podstołecznych, zasila pieniężnie drobne rolnictwo, przemysł oraz w znacznej mierze rozbudowę. Na ogólną kwotę pożyczek (zł. 32.000.000) udzielonych (22.000 osobom) przez K. K. O. w okresie 4-letniej działalności przypada conajmniej 6 miljonów zł. na budownictwo podstołeczne, w wyniku czego nowo powstające osiedla, jak Legjonowo, Rembertów, Okęcie, Piastów, Włochy i inne w dużej mierze zawdzięczają swój rozwój ożywczej działalności K. K. O.

Liczna klijentela tej Instytucji społecznej, sięgająca dziennie pół tysiąca osób, wymagała dla sprawności obsługi odpowiedniego pomieszczenia i urządzeń. Rozstrzygnięcie tego zadania załatwione zostało w czerwcu b. r. przez nabycie na własność K. K. O. jednego z okazalszych i stylowych gmachów Stolicy w najruchliwszym jej punkcie przy ul. Zgoda Nr. 7 (róg Złotej). Nieruchomość ta, z placem o powierzchni bezmała 1.000 metr. kw., zbudowana przed laty 37, według projektu architekta St. Szyllera na potrzeby dobrze zasłużonej przed wojną Kasy Pożyczkowej Przemysłowców, nabyta została przez K. K. O. pow. warszawskiego w dniu 17 ub. m. wraz z całkowitem urządzeniem, meblami, kasami i skarbcem w podziemiach, za ogólną sumę zł. 825.000.

Ugruntowany w pełni dotychczasowy rozwój K. K. O., poparty licznym zespołem wkładców (24.100 osób) i rocznym obrotem sięgającym 100 miljonów zł., toruje tej Instytucji użyteczności publicznej dalsze pogłębienie zaufania u społeczeństwa przez obywatelskie supełnianie zadań gospodarczych, stanowiących treść działalności tej Instytucji.

Minister Koc o Konferencji londyńskiej

Jak donosimy na innem miejscu, światowa konferencja gospodarcza w Londynie dobiegła swego kresu, nie osiągnąwszy właściwie żadnych konkretnych rezultatów, jakich spodziewano się w kołach międzynarodowych, a w szczególności — w kołach jej organizatorów. Tak też ocenił sytuację szef polskiej delegacji na konferencję, obywatel Min. Koc. Mimo to jednak konferencja londyńska posiada pewne znaczenie, oprócz równoczesnej, niezaprzeczenie wielkiej roli umów, zawartych w czasie konferencji londyńskiej przez Polskę z szeregiem innych państw.

Oto, jak Min. Koc charakteryzuje to w wywiadzie, udzielonym agencji „Iskra":

„W Londynie zarysowała się możliwość konkretnego zbliżenia gospodarczego na węższych terenach. 6 państw kontynentu europejskiego, a wśród nich — jak wiadomo — Polska podpisało tutaj deklarację o utrzymaniu parytetu złotego, co w konsekwencji stworzyło współpracę banków centralnych tych państw oraz otwiera możliwość bliższej kollaboracji w dziedzinie ekonomicznej.

Jest to dorobek bardzo pozytywny, gdyż porozumienie to nietylko stawia tamy dalszemu rozkładowi walutowemu świata, lecz stwarza także ośrodek zdrowej współpracy gospodarczej, która może promieniować na coraz to szersze tereny.

Szczególnie miło mi przy tej okazji podkreślić zbliżenie, jakie nastąpiło podczas pobytu naszej delegacji w Londynie z tutejszemi sferami gospodarczemi i finansowemi. Mieliśmy wiele okazyj rozmawiania o sprawach, dotyczących sytuacji w Polsce i z wielką satysfakcją mogę stwierdzić, że od wszystkich, z którymi mieliśmy sposobność zetknięcia się — słyszeliśmy słowa uznania i wielokrotnie słowa podziwu dla olbrzymiego wysiłku i ofiarności polskiej w walce z kryzysem gospodarczym i jej odporności w tej walce okazanej, co świadczy o wielkiej sile witalnej państwa.

Zrozumienie, okazane nam przez obcych, jest nietylko teoretyczne, ale przejawiło się w praktycznem zrealizowaniu poważnej tranzakcji pożyczki na elektryfikację węzła kolejowego warszawskiego, co stanowi niewątpliwie zaczątek współpracy gospodarczej angielsko - polskiej na szerszą skalę.

Na zakończenie pragnę podzielić się z panem uczuciem, iż wyjeżdżam z Londynu pod niezmiernie miłem wrażeniem wielkiej gościnności i uprzejmości, jaką otoczeni byliśmy zarówno ze strony rządu Jego Królewskiej Mości, jak władz miejscowych londyńskich i sfer towarzyskich tego miasta" — kończy minister Koc.

Poznaj swój kraj!

POLSKA STRAŻ NAD BAŁTYKIEM

Jak mścił się nad Europą przez lat półtorej setki wielki błąd dziejowy, którym była zbrodnia rozbiorów Polski, tak czarną flagą żałobnej niepewności i niepokoju, zarazem ognistem zarzewiem, mogącem wybuchnąć zdało się lada dzień wielkim płomieniem był stan, stworzony przez Traktat Wersalski, stan mający uregulować stosunek portowego miasta Gdańska do odwiecznie suwerennej dla niego Polski.

Przez lat przeszło 13 nad deltą naszej Wisły wisiały chmury. Przez cały djabelski tuzin lat bies szatańskim chichotem witał wszelkie próby, jakie Polska podejmowała celem opamiętania małego sąsiada. Jurny był i nie chciał zrozumieć, że to tylko drugi błąd dziejowy stan ten wytworzył. Że błędem tym było utworzenie wolnego miasta z oderwanego w r. 1793 od Polski Gdańska.

Wszak najpomyślniejszym okresem w dziejach Gdańska były lata od 1454 do 1793, gdy stan jego związany gospodarczo i politycznie z Polską, pod ojcowskiemi rządami Polski był najbardziej kwitnący. Potęga i dobrobyt Gdańska w ciągu lat prawie 350 stale się wzmagały i kto wie, jak dalekoby się rozwinęły, gdyby nie katastofa upadku Polski i przejścia miasta i portu w roku 1815 we władanie Prus. Od tej pory aż do r. 1919 należąc do Niemiec, Gdańsk, jako miasto i port stale upadał, ustępując miejsca innym portom niemieckim, bo taka była polityka Rzeszy. Wyprzedziły go Hamburg, Brema, Lubeka i Szczecin. To też i miasto samo jakoby zatrzymało się w rozwoju.

Ludność Gdańska, jakby to przeczuwając, a pamiętając, że sama w roku 1454 oddała się pod ojcowską opiekę Polski, niechętnie przyjęła okupujące Gdańsk w r. 1793 pruskie wojska Fryderyka II.

Z biegiem lat jednak stosunek ten się zmienił. Germanizacyjna polityka rządu berlińskiego zrobiła swoje. Gdańsk po stu latach znajdowania się pod silną ręką Żelaznego kanclerza, jak jego poprzedników i następców, odłączony Traktatem Wersalskim od Niemiec a nie przyłączony do Polski, zawisł między temi dwoma państwami w powietrzu, jako „Wolne Miasto". Przez dłuższy czas rządzony przez czynniki w większości swej szowinistycznie niemieckie nie orjentował się, że jego własny interes leży w zgodzie z Polską. Przeciwnie, struna wzajemnych stosunków coraz bardziej się naprężała. W ciągu ostatnich lat coraz częściej dochodziło do scysyj. Tylko zawdzięczając wysoce taktownym i politycznym posunięciom Generalnego Komisarza Polski w Gdańsku uniknięto do dziś zerwania.

I dobrze, że się tak stało. Nie po raz pierwszy to, wysoce kulturalne postępowanie Rządu Polskiego, któremu nieraz zarzucają, że niepotrzebnie działa „w rękawiczkach", odniosło właściwy skutek. Ostatnio sfery rządzące w Gdańsku zdają się wreszcie rozumieć, że interes Wolnego Miasta leży w zgodzie i harmonji z Polską, od której Gdańsk ekonomicznie jest całkowicie zależny. W Gdańsku powiał nowy wiatr — wizyta przedstawicieli Wolnego Miasta w Warszawie zapowiadała zmianę dotychczasowej skandalicznej polityki

awantur i ciągłych scysyj z Polską — na politykę koniecznej współpracy. Pragnąćby tylko należało, aby ta zmiana była szczera i nieprzemijająca.

A może rzeczywiście, bez względu na swe zapatrywania, nowi rządziciele Gdańska, cofnąwszy się pamięcią wstecz o lat niemal tysiąc, uprzytomnili snać sobie, że Gdańsk od czasów Św. Wojciecha, a więc od r. 997 aż do r. 1139 stanowił integralną część Polski, rządzonej przez sześciu kolejnych królów, od Bolesława Chrobrego, aż do Krzywoustego. Oddany w r. 1139 w lenne władanie książętom Pomorskim z rodu Gryfitów do r. 1294 im podlegał wraz z całem Pomorzem. Z tych to czasów datują nagrobki i portrety Książąt Pomorskich Sambora, Świętopełka i Mestwina w prawej nawie i pośrodku kościoła Cystersów w Oliwie.

Niestety, jeszcze za króla Leszka Białego, bo w r. 1218, książę Mazowiecki Konrad, nie mogąc własnemi siłami uporać się z pogańskiem plemieniem sąsiednich Prusaków (teren dzisiejszych Prus Wschodnich), założył do walki z nimi specjalny zakon Braci Dobrzyńskich. Gdy tych jednak Prusacy wymordowali, wezwał na pomoc niemiecki Zakon Krzyżaków, którym wypuścił w dzierżawę na lat 20 Ziemię Chełmińską.



Toruń. Kościół Św. Jana.

Był to rok 1227, kiedy przybyli z Niemiec Kawalerowie Krzyżowi z mistrzem swym Hermanem Balte na czele. Ci jednak niezwłocznie rozpoczęli intrygi i wszedłszy w konfidencję z brandenburczykami, skłonili księcia Świętopełka Pomorskiego do podstępnego zamordowania Leszka Białego w Gąsowie, poczem po objęciu tronu Polski przez Bolesława Wstydliwego wzięli się do zakładania obronnego grodu Torunia nad Wisłą. Miał on bronić granic Mazowsza od napaści pogańskich Prusaków, jak równocześnie spełniał tę samą funkcję leżący na przeciwnym brzegu Wisły polski zamek Dębow.

Te przyjacielskie i niejako lennicze stosunki z Polską nie przeszkadzały osiadłym w Toruniu Krzyżakom w intrygowaniu przeciw Polsce. Wskutek tych intryg znów chwycił za broń wspomagany również przeciw Bolesławowi Wstydliwemu przez brandenburczyków Świętopełk Pomorski. Były to lata 1248—1250. W niespełna pół wieku następca Świętopełka książę Mestwin, (1266 — 1295) umierając bezpotomnie, przekazał swe księstwo Pomorskie wraz z Gdańskiem koronowanemu przez arcyb. Świnkę w Gnieźnie na króla polskiego, księciu Poznańskiemu Przemysławowi.

Gdy tego znów Przemysława po siedmiu miesiącach panowania zamordowali w Rogoźnie brandenburczycy, a następca jego na tronie polskim Władysław Łokietek, mimo skarg do papieża o zabór Pomorza i ziemi Dobrzyńskiej nie mógł Krzyżakom dać rady, Gdańsk wraz z całą ziemią Pomorską dostał się pod panowanie Krzyżaków, które trwało od r. 1308 do 1454. Rządy swe w Gdańsku zaczęli Krzyżacy od rzezi w r. 1308 w dniu jarmarku Św. Dominika. W rzezi tej miało zginąć 10.000 mieszkańców. Dalsze rządy krzyżackie tak się dały we znaki mieszkańcom Gdańska, Torunia i całego Pomorza, iż w r. 1440 zawiązany został związek miast pruskich, czyli tak zw. „Związek Jaszczurczy", który w r. 1454 ogłosił rokosz przeciw Krzyżakom. Zburzono wtedy zamek krzyżacki w Gdańsku, zamek w Toruniu i t. d., oddając całe Pomorze z Gdańskiem, Toruniem, Malborgiem, Kwidzyniem i t. d. pod władzę i opiekę Polski i składając hołd królowi Kazimierzowi Jagiellończykowi. Od tej pory rozpoczął się wspomniany rozkwit ekonomiczny i gospodarczy Gdańska, Torunia i całego Pomorza oraz jasne dni tolerancji religijnej i swobód politycznych, w których zawsze Polska celowała.



Widok z Kamiennej Góry na port gdyński.

Nie mówiąc już o Toruniu, wystarczy przejść się po Gdańsku i obejrzeć jego gmachy, pamiętając, że lata 1454 — 1793, to lata panowania Polski. Oto piękna Wysoka Brama — łuk triumfalny na wjazd króla Polskiego Zygmunta III w r. 1598; strzelnica Ś-go Jerzego z r. 1490; Długa Brama z r. 1614; Kamienica Uphagena i muzeum z czasów króla Stanisława - Augusta; ratusz z XIV wieku odrestaurowany po pożarze w r. 1556 za króla Zygmunta Augusta; na wieży olbrzymi zegar i posąg polskiego króla Zygmunta Augusta z r. 1561; wspaniały wodotrysk Neptuna pod ratuszem z r. 1633; piękny Dwór Artusa z r. 1477—81; Zielona Brama z r. 1564, jako mieszkanie królów polskich; wielki Żóraw z XV wieku, większość spichlerzy na wyspie Spicbozów oraz dwie baszty zw. Milchkannentezen z r. 1519, zamykające ulicę Milchkannengasse; większość pięknych kamienic z przedprożami i gankami (Beischläge) na ul. Frauengasse, Joppengasse i inn.); arsenał z r. 1605; kaplica królewska przy ul. Św. Ducha z r. 1681—85; kościół Ś-go Jana, przebudowany w r. 1460; i t. d. i t. d., pełno polskich pamiątek z najpiękniejszej doby rozkwitu Gdańska za polskich czasów, których koroną jest wielka czterorzędowa Aleja lipowa 3 klm. długości, łącząca Gdańsk z Wrzeszczem, a założona za króla Stanisława Poniatowskiego w r. 1770. Pominęliśmy tu kościoły, których większość zbudowana została, bądź doprowadzona do dzisiejszej formy w okresie należenia Gdańska do Polski.

Co ma Gdańsk z czasów krzyżacko - niemieckich? Poza jednym nastrojowym wprawdzie, zwłaszcza w noc księżycową, Wielkim Młynem nad Radunią, rzuca się w oczy i jest przedewszystkiem przez przewodników pokazywana **wieża tortur** (Peinkammer) z 1346 roku, oraz **wieża więzienna** (Stockturm). I nic więcej.

Tak samo pełen pamiątek jest Toruń, obchodzący w roku bieżącym 700-lecie swego istnienia, jako założony przez wspomnianego mistrza krzyżackiego Hermana Balte. Do dziś, wysiadając ze statku na brzeg wiślany, widzimy potężne mury z obronnemi bramami, z których Mostowa i Żeglarska są najlepiej zachowane. Tuż za murem na prawo od bramy Mostowej mamy dobrze zachowane mury dawnego Zamku Krzyżackiego z XIII wieku; zburzyli go mieszkańcy w r. 1454, powstawszy przeciwko krzyżackiemu jarzmu. Trzy kościoły N. Marji Panny z grobowcem królewny Anny Wazówny, siostry Zygmunta III, Ś-go Jana oraz Ś-go Jakóba; krzywa wieża, dom rodziny Kopernika, gotyckie spichrze, wreszcie dobrze zachowany Zajazd „Pod Modrym Fartuchem" z XV stulecia.

Poza temi dwoma sztandarowemi miastami Pomorza do większych należą Grudziądz, Chełmno, Świecie, Starogard, Kościerzyna i Kartuzy nad malowniczem jeziorem.

Najpiękniejszą częścią Pomorza jest Szwajcarja Kaszubska, sąsiednie Pojezierze Brodnickie ze 100 jeziorami oraz położone od nich na południe Bory Tucholskie, obejmujące około 2.000 klm. kw. lasów.

Koroną jednak Polskiego Pomorza staje się Gdynia, której wróżą, iż zostanie z czasem królową Bałtyku. Istotnie dąży ona ku temu celowi siedmiomilowym krokiem, z małej wioski kaszubskiej o 200 mieszkańcach stając się w ciągu kilku lat dużym portem i miastem o 50,000 ludności i szeregu wielkich gmachów na miejscu chat rybackich.

Podobno już Władysław IV upatrzył to miejsce na bazę floty polskiej, której, niestety, los nie pozwolił rozwinąć. Dziś ziszcza się to królewskie marzenie: wyrasta u Oksywskiego podnóża góry przy ujściu rzeki Chylonki port handlowy i wojenny Rzplitej o wielkich basenach, dźwigach bramowych i mostowych, wywrotnicach, olbrzymich hangarach, składach i chłodniach. Niezależnie od tego Gdynia z sąsiedniem Orłowem posiadają plaże, konkurujące pierwsza z Sopotami, druga z mniejszemi kąpieliskami gdańskiemi Brzeźnem (Brösen) i Jelitkowem (Gletkau).

Nadto wybrzeże Polskie posiada wierzeję Helską wąski od pół kilometra do 3 klm. a długi 33 klm. zalesiony pas ziemi, oblany z obu stron morzem, bo oddzielający pełny Bałtyk od Zatoki Puckiej. Są na nim z dawnych niemieckich czasów nędzne wioski kaszubskie, dziś rozwijające się szybko plaże i letniska, jako to: Chałupy, Kuźnica, a przedewszystkiem Jastarnia i Hel, położony na samym końcu wierzei, a więc z trzech stron wodą otoczony.

Pomimo, że najrdzenniejszą ziemią polską i gniazdem, skąd się Polska wywodzi jest otoczona Notecią, Obrą i Borycząą Wielkopolska, czyli dzisiejsze województwo Poznańskie z Kruszwicą i Gnieznem, to jednak nierozerwalne z nią duchowo i historycznie związane są dzielnice, leżące na południu, z białochrobackim ongi Krakowem; na wschodzie — Mazowsze i t. d. z Warszawą i na północy — Pomorze z jego wymienionemi i niewymienionemi miastami, wsiami, borami i łęgami, rzekami i jeziorami, w których i nad któremi od lat tysiąca tkwi i unosi się duch polski, pełen tolerancyjnej pokojowości i myśl państwowa wcielana od wieków w czyny nie za pomocą gwałtów i przemocy, ale drogą argumentów serdecznych i rozumowych.

Jest to droga żmudna, powolna i daleka, ale prowadząca do zwycięstwa.

Franciszek Galiński.

OD ADMINISTRACJI

Wszystkich Prenumeratorów, którym zostały rozesłane upomnienia o wyrównanie zaległości, prosimy o wpłacenie zaległej prenumeraty w celu uniknięcia przerwy w otrzymywaniu „Peowiaka".

P. O. W. w Czortkowie

Z chwilą rozbicia i internowania I Brygady Leg. Pol. oraz po przebiciu się II Brygady Leg. Pol. pod Rarańczą, cała praca nad wykuwaniem niepodległości przeszła w podziemia, ujęta w karną organizację P. O. W.



Komenda P. O. W. w Czortkowie z komendantem Sewerynem Kazimirowskim pośrodku.

Pracę P. O. W. na terenie Czortkowa poruczył mi w lutym 1918 r. w czasie ucieczki przed aresztowaniem przez żandarmerję austrjacką — obecnie major — Aleksander Winiarski, twórca ruchu niepodległościowego w Czortkowie, czyniąc mnie odpowiedzialnym za całość prac. Oto słowa jego, zamieszczone w liście pisanym do mnie w lutym 1918 r.: „Bierzesz główną rolę, będziesz sprężyną, ruszającą wszystkiem, sam niewidzialny. Rób całą siłą pary, wciągnij do roboty wszystkich..."

Kiedy dziś po wielu latach przedstawiam z tej pracy krótkie sprawozdanie, sądzę, że rozkaz wykonałem głównie dzięki tradycji pracy niepodległościowej, która w nas, czortkowiakach, żyła od lat szeregu.

Do ścisłej współpracy w P. O. W. powołałem obywateli: ś. p. Seweryna Kazimirowskiego, Jana Chodzickiego i ś. p. Leopolda Peruckiego. Komendę oddałem ś. p. Sewerynowi Kazimirowskiemu. Oddział czortkowski P. O. W. początkowo liczył około 40 członków, w październiku zaś 1918 r. stan liczebny oddziału wynosił ponad 150 członków.

Zakres pracy P. O. W. na terenie Czortkowa obejmował:

1) poruszenie opinji i sumienia społeczeństwa i wykazanie, że Polacy mogą i muszą stanąć do walki o niepodległość Ojczyzny z bronią w ręku we własnych polskich szeregach,

2) jednanie w Czortkowie i w powiecie jaknajwiększej ilości członków i sympatyków do pracy w P. O. W.,

3) ćwiczenia i wykłady, oraz gromadzenie broni i amunicji, wreszcie

4) niesienie pomocy legjonistom, ukrywającym się przed żandarmerją austrjacką.

W stosunkowo dość krótkim czasie udało nam się zorganizować cały powiat, w kilkunastu wsiach potworzono placówki, a nadto ze Lwowem utrzymywano ścisły kontakt zapomocą kurjerów.

Ostatnie dni października 1918 r. zastają P. O. W. czortkowskie przygotowane do akcji zbrojnej. Na wiadomość o walkach we Lwowie, wniosek czortkowskiej komendy P. O. W. zajęcia zbrojnie Czortkowa — podany Polskiemu Komitetowi — nie został aprobowany, wobec czego zmuszeni byliśmy biernie przypatrywać się inwazji, wykorzystując czas ten do tem intensywniejszego przygotowania się do walki o wolność, mimo szykan i aresztowań.

W okresie tym peowiacy biorą czynny udział w akcji niesienia pomocy jeńcom i internowanym. Wspólnie z Polskim Komitetem zbierają fundusze potrzebne na urządzenie kuchni oraz kupno ubrań, bielizny i obuwia dla jeńców i internowanych.

Nawiązaliśmy stały kontakt z naszemi władzami za pośrednictwem kurjerów, którzy przywozili nam wiadomości o ruchach naszych wojsk, dzienniki i odezwy, które następnie rozdawaliśmy w Czortkowie i całym powiecie. Nadto zawiadamialiśmy rodziny jeńców i internowanych o ich losie.

W lutym 1919 roku zostałem przez Ukraińców aresztowany i osadzony w obozie jeńców w Czortkowie, skąd wraz z innymi przewieziono mnie do Jazłowca. Po rozwiązaniu obozu internowanych w Jazłowcu zostałem przewieziony z powrotem do Czortkowa i tu więziony jeszcze przez dwa tygodnie, poczem na skutek usilnych interwencyj pp. Janiny Gargulińskiej, b. starosty Zygmunta Gronziewicza, ś. p. Ksawerego Geringera i Janiny Berezowskiej — zostałem zwolniony, lecz aż do ustąpienia Ukraińców z Czortkowa byłem pod dozorem.

Podobny los dzielił wspólnie ze mną nauczyciel Władysław Ziółkowski, natomiast inni, jak: Miron Żółkiewski, Stanisław Leśniak, Ludwik Madeja, Leon Kłyś, Stanisław Łukasiewicz, N. Niementowski, zaraz po przesłuchaniu zostali wypuszczeni na wolność.

Dnia 5 czerwca 1919 r. nadeszła dla Czortkowa dziejowa chwila odzyskania wolności. Odwrót Ukraińców był dla nas, peowiaków, hasłem do czynu zbrojnego. To też, zanim ukazały się pierwsze patrole wojska naszego, chwyciliśmy pierwsi za broń, przepędzając resztki uwijających się jeszcze po mieście oddziałów ukraińskich. Zabezpieczyliśmy miasto nasze od rabunku, uratowaliśmy płonący most na Serecie,

oraz przygotowaliśmy posiłek i kwatery dla naszych żołnierzy, którzy dopiero o zmroku w sile 4 komp. weszli do miasta.

Po dwudniowej zaciętej walce, w której i peowiacy brali czynny udział, wojska nasze z powodu zbyt szczupłych sił, musiały



Ś. p. Salomea Raczkowska.

się wycofać aż po linję Dniestru i Złotej Lipy, a z niemi również wycofali się peowiacy, którzy w liczbie około setki jako ochotnicy zasilili szeregi naszej armji.

Podczas odwrotu, trzech naszych peowiaków zginęło śmiercią męczeńską (zostali przez Ukraińców w straszny sposób rozstrzelani), a to: ś. p. Albin Jaworski, ś. p Adolf Urban i Tomasz Wartanowicz.

Najczynniejszymi i najbardziej ofiarnymi członkami czortkowskiego P. O. W. byli: Zbigniew Bielański, Jan Chodzicki, Romuald Drozdowski, Eugenjusz Jankowski bracia Jankowscy, ś. p. Albin Jaworski, ś. p. Seweryn Kazimirowski, inż. Jakób Kostecki, Stefan Kostecki, Tadeusz Krukiewicz, Roman Kubec, Kazimierz Kocowicz, Franciszek Kuta, Józef Kuta, H. Łukasiewicz, Józef Malinowski, Józef Opacki, ś. p. Leopold Perucki, dr. Eugenjusz Piotrowski, inż. Potschoegel, ś. p. Salomea Raczkowska, Janina Rosłanowska z Berezowskich, Franciszek Rosłanowski, Jan Świątkowski, Wilhelm Schneider, F. Schneider, J. Urban, Ziółkowski, Miron i Michał Żółkiewscy.

Wymienić jeszcze muszę pracę najbardziej ofiarną starszego społeczeństwa — naszych sympatyków, w której żywy udział brali: d-rowa Antonina Baczyńska, Karolina Bielańska, ś. p. Julja Berezowska, starościna Gronziewiczowa, panny Bodnarówny, Helena i Kazimiera Krukiewiczówny, Jadwiga Klisowska, Stefanja Krzyżanowska z Jabłońskich, Alicja Trzcieniecka, Regina Klimczakowa z Michoniów, oraz ś. p. Ksawery Geringer, Zygmunt Gronziewicz, Jan Jankowski, ś. p. N. Kamiński, ś. p. Leon Kłyś, ś. p. dr. Stanisław Krokowski, Ludwik Madeja, dr. Eugenjusz Nawarski, dr. Aleksander Zawadzki, Ludwik Lustig i Wacław Berezowski.

*

Po ponownem uwolnieniu Czortkowa, oraz po utrwaleniu granic Rzeczypospolitej, peowiacy prowadzą w dalszym ciągu zbiorową pracę nad ugruntowaniem bytu i potęgi Najjaśniejszej Rzeczypospolitej i Jej rozwoju w kierunku ideologji naszego ukochanego Wodza. W tym celu powstają Koła Peowiaków. Czortków również nie pozostaje obojętny. Na apel Okręgu P.O.W. w Stanisławowie, w macu 1931 roku powołuje do życia Koło Powiatowe Związku Peowiaków. Przeprowadza rejestrację peowiaków, zbiera materjały potrzebne do opracowania historji P. O. W., udziela swym członkom pomocy materjalnej i moralnej, roztacza opiekę nad inwalidami, matkami, wdowami i sierotami po poległych, a nadto otacza opieką groby poległych w obronie Czortkowa w r. 1919.



Bolesław Bonifacy Rosłanowski komendant P. O. W. w Czortkowie w 1918/19 r.

Koło Czortkowskie zajęło się ponadto urządzeniem obchodu 15-ej rocznicy powstania P. O. W. na terenie Czortkowa oraz zainicjowało wspólnie ze Związkiem Legjonistów Polskich akcję budowy pomnika ku czci poległych w służbie dla Ojczyzny, którą to akcję — dzięki ofiarności tutejszego społeczeństwa, bardzo wydatnej pomocy wojska i d-cy 25 baonu K.O.P. mjr. Józefa Kalandyka, oraz bezinteresownej pracy inż. R. Braunera — doprowadziło szczęśliwie do końca.

Bolesław Rosłanowski.

ODEZWA GMINY POLSKIEJ W GDAŃSKU

Od Gminy Polskiej w Gdańsku otrzymaliśmy następującą odezwę.

Rodacy!

Pozdrowienie śle Wam ludność polska w Gdańsku, wierna swemu posłannictwu dziejowemu, spadkobierczyni praw odwiecznych, zakreślonych nietylko traktatami, ale pracą stuleci polskich pokoleń gdańskich!

W huraganie walki o skarby nasze kulturalne, narodowe i religijne trwamy na posterunku.

Walka ta o duszę dziecka polskiego,
duszę młodzieży polskiej,
duszę ludu polskiego
prowadzona jest przez żywioł wrogi środkami bez wyboru.

Lecz nie cofamy się!

Zgodni, solidarni, zwarci w szeregach Gminy Polskiej, ramowej organizacji wszystkich Polaków w Wolnem Mieście Gdańsku odpieramy ataki sił przeważających.

DOPOMÓŻCIE NAM RODACY!

Niechaj wzruszą się serca Wasze na wieść, że tam u ujścia Wisły, rzek polskich Królowej — bracia i siostry Wasze w ciężkiem codziennem zmaganiu bronią idei polskiej w Gdańsku. Znojny to trud.

Budujemy Domy Ludowe, kaplice, kościołki, roztaczamy opiekę nad szkołą, zakładamy Towarzystwa Ludowe, Rolnicze, opiekujemy się niemi, prowadzimy walkę o realizację praw zagwarantowanych nam Traktatem Wersalskim, przeprowadzamy wybory do Sejmu gdańskiego, do rad miejskich i gminnych, rozszerzamy pracę oświatowo-kulturalną, urządzamy uroczystości narodowe, otaczamy biedną ludność opieką społeczną. Oto szereg najważniejszych prac Gminy Polskiej, decydujących o losie i przyszłości ludu polskiego w Gdańsku. A ten lud wielce ofiarny w miarę swych możliwości, to ubogie rzesze robotnicze i rolnicze.

Dziś więcej niż kiedykolwiek niechaj nam staną do pomocy

wszyscy Rodacy—Obywatele!

Niechaj w całym Narodzie Polskim otworzą się dłonie ofiarne. „Na pomoc Polonji w Gdańsku!"

Prosimy Was o to gorąco!

GMINA POLSKA w Wolnem Mieście Gdańsku.

Wszelkie dary prosimy przekazać: na konto Gminy Polskiej P. K. O. Nr. 210040 lub na konto Gminy Polskiej w Banku Związku Spółek Zarobkowych, Oddział Gdańsk, lub na konto Gminy Polskiej w Banku Ludowym w Gdańsku.

Ś. p. Major Kazimierz Haber

Śmierć nieubłagana zabrała nam niespodziewanie jednego z najlepszych i najofiarniejszych obywateli Wielkopolski w wytrwałej i bezinteresownej pracy dla Ojczyzny, jednego z bojowników walki od wielu, wielu lat o niepodległość Rzeczypospolitej, jednego z uczestników prac konspiracyjnych z dni młodzieńczych czasu zawieruchy wojennej oraz z okresu jawnych powstań narodowych w Wielkopolsce i na Górnym Śląsku. W dniu 10 lipca b. r. w Zakładzie SS. Elżbietanek w Poznaniu zmarł peowiak Kazimierz Haber, właściciel majątku ziemskiego Kołdrąb pod Janowcem koło Gniezna.

Pogrzeb jego odbył się w dniu 13 lipca b. r. w Trzemesznie skromnie, jak upłynęło całe jego ciche, lecz owocne życie. Kondukt pogrzebowy prowadził delegowany przez J. E. ks. biskupa Laubitza, ks. kanonik Kapituły Gnieźnieńskiej van Blerique w otoczeniu kilkunastu księży. Towarzysze z powstania wielkopolskiego należący do Związku Weteranów Powstań Narodowych z 1914/19 r. nieśli szczątki doczesne ś. p. Habera. Poza marszem żałobnym, odegranym przez miejscową orkiestrę, nie wygłoszono stosownie do jego skromnego życia żadnych przemówień. Za trumną spostrzegliśmy jego małżonkę Izabellę z domu Kozińską oraz synów dr. Jana, wiceprokuratora Sądu Apelacyjnego w Poznaniu z żoną oraz młodszego Marjana, obejmującego po ojcu w posiadanie Kołdrąb. Trumnę złożono do grobowca rodziny Kozińskich na cmentarzu parafjalnym.

Sterany pracą nadmierną, pracą, w której od wczesnych lat młodzieńczych nie zaznał spoczynku, wyczerpany trudami wojennemi, organizm Zmarłego odmawiał raz po raz posłuszeństwa. Każdorazowo zdawało się jednak, że mimo wszystko, zwycięży te małe niedomagania. Aż tu nagle ś. p. Kazimierz Haber ciężko zachorował i był zmuszony poddać się ściślejszej opiece lekarskiej w Poznaniu. Legł, by już więcej z łoża boleści nie powstać...

Ś. p. Kazimierz Haber urodził się 6 lutego 1872 r. w rodzinnym majątku Łojewo pod Inowrocławiem. Był on rówieśnikiem urodzonego w tej samej miejscowości Stanisława Przybyszewskiego, z którym łączyły go bardzo przyjazne stosunki. Do gimnazjum uczęszczał w Inowrocławiu. I tu jako uczeń wchodzi już w orbitę pracy dla niepodległości Ojczyzny przez wstąpienie w szeregi działaczy konspiracyjnego związku im. Tomasza Zana. Te konspiracyjne związki gimnazjalne były zalążkiem przyszłych walk z zaborcami o wyzwolenie kraju z jarzma niewoli. Ojca traci wcześnie. Gdy skończył gimnazjum, odumarła go również matka, która po zgonie męża samodzielnie zarządzała majątkiem i ze swej dzielności energji i filantropji słynęła na całych Kujawach.

Tracąc tak rychło rodziców, staje się jako jedynak, liczący lat 19-cie, samodzielnym. W roku 1895/96 odsługuje jednoroczną służbę w pułku artylerji w Bydgoszczy. Pracy w gospodarstwie rolnem oddaje się z całym zapałem i energją, przyczem pomagała mu wiele odziedziczona po matce samodzielność. Doprowadza też w krótkim czasie Łojewo do rozkwitu, słynąc jako jeden z najdzielniejszych gospodarzy nietylko na Kujawach, lecz w całej Wielkopolsce.

W związek małżeński wstępuje w roku 1899 oddając się natenczas szerokiej pracy patrjotyczno-społecznej. By móc na tem polu intensywniej pracować, sprzedaje w roku 1903 Łojewo Polskiemu Bankowi Parcelacyjnemu w Inowrocławiu (należy odróżnić drugie Łojewo pozostające stale w rękach niemieckich).

Przeniósłszy się do Poznania, kontynuuje swą intensywną pracę patrjotyczno-społeczną, należąc do licznych towarzystw polskich i piastując urzędy honorowe, jak np. członka Izby Panów i t. p. Nie można przy tej okazji pominąć milczeniem zasług uratowania ogółem 42.000 mórg ziemi polskiej, które miały być podstępem wykupione od właścicieli Polaków przez agentów, niestety, o rdzennie polskich nazwiskach, by później przejść w ręce osławionej pruskiej komisji kolonizacyjnej. Zmarły, wydostawszy podstęp agentów-Polaków, ostrzegł nic złego nie przeczuwających właścicieli danych majątków ziemskich przed podsuniętymi reflektantami i w ten sposób uchronił przed przejściem w ręce niemieckie majątki takie, jak: Ociąż, Karmin, Małachowo, a nawet była w projekcie tych agentów i Września. Z tego powodu wytoczono mu proces polityczny, który przez kilka lat zajmuje szpalty dzienników. Wyrok grozi konfiskatą majątku Zmarłego, aż wreszcie dzięki dzielnej obronie przedewszystkiem radcy Cichowicza, wychodzi z procesu berlińskiego obronną ręką, aczkolwiek musi ponosić wszystkie koszty postępowania ze względu na rzekome ubóstwo oskarżycieli-agentów, którzy na każdym kroku próbują przeciwdziałać ś. p. Haberowi. Wynikiem procesu było zapisanie Zmarłego na tajną listę w urzędach niemieckich jako „wrogo usposobionego względem państwa niemieckiego obywatela".

Z tego też powodu zaraz drugiego dnia mobilizacji w 1914 r. wysłano go na front rosyjski. Był tam dowódcą kolumny amunicyjnej artylerji, zaopatrującej pierwsze linje obronne. Wróciwszy z frontu, wskutek choroby do garnizonu, na pół roku przed powstaniem wielkopolskiem, zostaje przydzielony, jako zawodowy rolnik, do Zakładów żywnościowych w Poznaniu. Wykorzystuje to spokojne zajęcie na konspiracyjne skupienie wszystkich wyższych wojskowych-Polaków, zatrudnionych w ówczesnych zakładach i biurach wojskowych. W myśl wskazań Marszałka Piłsudskiego oragizuje z tych wojskowych na początku września 1918 r. grupę P. O. W., mającą za zadanie zabezpieczenie wojskowych magazynów przed wywozem zapasów w głąb Niemiec, zniszczeniem tychże lub też rozkradzeniem. Na te tajne zebrania oddaje swoje prywatne mieszkanie przy Rynku Jeżyckim w Poznaniu i przewodzi na tych posiedzeniach, na których nastąpił podział poszczególnych wojskowych na kierowników odnośnych placówek byłej dzielnicy pruskiej na hasło Powstania. Niejednokrotnie w czasie tych wieczornych posiedzeń odwiedzali Go „przypadkowo" pruscy oficerowie, z którymi konferował w drugim pokoju, pozostawiając kolegów w milczeniu w nieoświetlonym pokoju.

Z chwilą wybuchu rewolucji opuszcza też zaraz wojsko pruskie, by już otwarcie objąć komendę nad tą grupą peowiacką. Nie można się też dziwić, że z chwilą wybuchu powstania wielkopolskiego Naczelna Rada Ludowa powierza Zmarłemu bardzo odpowiedzialny wydział Intendentury Wojsk Wielkopolskich, wskutek czego powstaniec nie znał co to głód i chłód, idąc w pole wypoczęty, nakarmiony i dostatecznie odziany. Obejmując to nader odpowiedzialne, a może, niestety, w ówczas niedostatecznie przez ogół doceniane stanowisko w tworzącej się samorzutnie armji polskiej, doznał niejednej goryczy. Kierował się bowiem hasłem „Wszystko dla Ojczyzny", nie troszcząc się o swój majątek i będąc dla siebie jaknajsurowszym. Tego samego wymagał pod każdym względem nietylko od swych podwładnych, lecz również i od społeczeństwa, które wówczas niezawsze rozumiało intencje Zmarłego. W tym czasie pomagał również powstańcom śląskim. Powstający Skarb Państwa za wdzięcza jego zmysłowi i energji niejeden miljon oszczędności. Po zorganizowaniu zaopatrzenia wojska zostaje odwołany na stanowisko dowódcy i komendanta obozu ćwiczebnego w Biedrusku, skąd w roku 1922 zostaje zwolniony do rezerwy. Otrzymuje Krzyż Walecznych i Krzyż Śląski poza innemi odznaczeniami niepodległościowemi, wojennemi i pamiątkowemi.

Dopiero teraz opuściwszy szeregi obrońców Ojczyzny, rozpoczął zmarły myśleć o zabezpieczeniu swej rodziny. Zasoby jego wskutek ofiarnej i bezinteresownej pracy około niesienia pomocy Ojczyźnie malały z dnia na dzień. Zgłosił się więc o kupno resztówki ziemskiej. Ze względu na Jego zasługi około Odrodzenia Polski, padł na niego wybór z pośród 300 reflektantów na kupno pamiętnej z pierwszego wywłaszczenia majętności Kołdrąb. Swego czasu Naczelna Rada Ludowa w imieniu Wielkopolski zaofiarowała ją Mistrzowi Paderewskiemu, lecz darowizna ta nie doszła wówczas do skutku. W ten sposób powrócił były bojowiec o Niepodległość Rzeczypospolitej do swego zamiłowanego zawodu agronoma.

Ubył nam jeden z najzasłużeńszych bojowników Niepodległości, ubył jeden z wytrwałych i niestrudzonych pracowników społecznych, ubyło jedno z serc ofiarnych i najszlachetniejszych! Odszedł ze służby Ojczyzny najbliższy nam człowiek, ale czyny Jego i pamięć o Nim — będą trwały na zawsze.

Wszystkim Jego byłym podwładnym, znajomym i przyjaciołom przypominamy o stworzonym „Funduszu im. mjr. Kazimierza Habera" na wydawnictwo o Powstaniu Wielkopolskiem. Ofiary na ten cel przyjmuje „Dziennik Poznański" i „Komunalny Bank Kredytowy" w Poznaniu.

ALBUM LEGJONÓW POLSKICH

w opracowaniu Mjr. Dr. Wacława Lipińskiego i Mjr. dypl. Eugenjusza Quirinego pod protektoratem Gen. J. Stachiewicza ukaże się nakładem Głównej Księgarni Wojskowej we wrześniu b. r. „Album" będzie zawierał krótko ujętą historję legjonów oraz będzie bogato ilustrowany fotografjami oraz barwnemi ilustracjami J. Ryszkiewicza. Będzie to pierwsze wielkie wydawnictwo o legjonach polskich, obejmujące całokształt historji legjonów oraz postawione na bardzo wysokim poziomie graficznym. Niewątpliwie też będzie się ono cieszyło dużym pokupem.

ŻYCIE ORGANIZACYJNE

OBCHÓD 15 ROCZNICY POWSTANIA P. O. W. W CZORTKOWIE.

W dniach 3 i 4 czerwca 1933 r. miasto Czortków obchodziło bardzo uroczyście święto 15 rocznicy powstania w Czortkowie Polskiej Organizacji Wojskowej.

Dnia 3 czerwca wieczorem po capstrzyku odbyła się w sali Magistratu uroczysta akademja, na której program złożyły się produkcje chóru mieszanego pod batutą prof. Wasyliny i muzyki mandolinistów, złożonej z uczniów szkoły powszechnej pod dyrekcją prof. Czyżdy, następnie zagajenie Dr. Br. Życzkowskiego, wiceprezesa P.O.W.



Cmentarz Obrońców Czortkowa.

oraz wspomnienia z pracy niepodległościowej pp. pułk. dypl. Maruszewskiego, mjr. Winiarskiego z Warszawy, oraz Bol. Rosłanowskiego, prezesa Związku Legjonistów Polskich i Związku P. O. W.

Akademja, na której obecni byli reprezentanci duchowieństwa, wojska i władz cywilnych, odbyła się w nadzwyczaj podniosłej i poważnej atmosferze.

Dnia 4 czerwca po uroczystem nabożeństwie w kościele OO. Dominikanów odbyło się na miejscowym cmentarzu odsłonięcie i poświęcenie pomnika P. O. W. Pomnik, wysokości około 5 m. (4.90), projektował i wykonał inż. Brauner z Czortkowa. Na pomniku, prócz orła strzeleckiego, umieszczono krzyże P. O. W. i Legjonowy. Pomnik ufundowało czortkowskie społeczeństwo przy wybitnem poparciu wojska (K. O. P.) z p. mjr. Kalandykiem na czele. Protektorat łaskawie objęli: wojewoda tarnopolski Moszyński, D-ca O. K. VI. Lwów, gen. Popowicz i dowódca brygady K. O. P. Podole, pułk. dypl. Piekarski.

W uroczystości odsłonięcia pomnika wzięły udział, oprócz reprezentantów władz z p. starostą Muszyńskim na czele, oraz szeregów P. O. W. i legjonistów, wojsko (K. O. P., Związek Strzelecki, harcerze, Tow. Gimn. Sokół, Związek Podoficerów Rezerwy, Legjon Młodych i w. in.

Po przemówieniu przewodniczącego Komitetu budowy pomnika d-ra Życzkowskiego, który pomnik oddał w opiekę społeczeństwu, wojsku i organizacjom ideowo z P. O. W. związanym, aktu odsłonięcia dokonał protektor, pułk. dypl. Piekarski. Po odsłonięciu i odegraniu przez orkiestrę kolejową „Harmonja“ hymnu państwowego, aktu poświęcenia dokonał ks. przeor dr. Wołek. Po produkcjach chóru przemawiał mjr. Winiarski.

W tym samym dniu odbyło się uroczyste zaprzysiężenie nowych członków Związku Strzeleckiego, oraz odsłonięcie tablicy, poświęconej pamięci poległych uczniów-legjonistów. Tablicę ufundowało wojsko.

ZJAZD DZIAŁACZY LEGJONOWYCH I PEOWIACKICH.

W Kasynie Oficerskiem w Warszawie odbył się dn. 2 lipca b. r. zjazd działaczy legjonowych i peowiackich, zwołany przez zarządy okręgowe województwa warszawskiego Związku Legjonistów i Związku Peowiaków. W zjeździe wzięło udział przeszło 500 działaczy.

Obrady zaszczycili swoją obecnością reprezentanci władz z p. wojewodą Twardo. Przemówienia wygłosili: red. W. Stpiczyński na temat „Idea legjonowo-peowiacka w pracy działacza społecznego“, oraz ob. St. Krzewski na temat „Podstawowe zagadnienia pracy społecznej legjonistów i peowiaków“.

Po zakończeniu obrad przyjęto następującą rezolucję:

„Konferencja działaczów stwierdza, iż naczelnem zadaniem jest zespolenie wszystkich sił Polski dla ugruntowania mocarstwowego stanowiska Państwa na rubieży wschodniej Europy. Spełnienie tego zadania wymaga od każdego obywatela Państwa czynnego i twórczego ustosunkowania się do zagadnień życia publicznego. Nikomu z pośród obywateli Państwa nie wolno być biernym. Obowiązek pracy twórczej dla Polski winien być powszechny i bezwzględny. Praca twórcza winna być prowadzona w zespołach zrzeszeń społecznych ,jako komórek podstawowych życia publicznego“.

Zjazd wysłał depesze hołdownicze do P. Prezydenta Rzplitej, Marszałka Piłsudskiego, premjera Jędrzejewicza i prezesa Walerego Sławka.

ZJAZD PREZESÓW KÓŁ OKRĘGU LWOWSKIEGO ZWIĄZKU PEOWIAKÓW.

W dniu 25 czerwca b. r. odbył się we Lwowie pierwszy zjazd prezesów kół i komendantów placówek okręgu lwowskiego Związku Peowiaków. Na zjeździe tym omówiono szereg spraw organizacyjnych.

Sprawozdania prezesów kół wykazały szybki rozwój prac związku na terenie poszczególnych powiatów i dążenie wszystkich kół do rozbudowy mocarstwowego stanowiska Polski.

25-lecie ZWIĄZKU STRZELECKIEGO.

W roku bieżącym Związek Strzelecki obchodził 25-lecie swego istnienia.

Uroczystości jubileuszowe odbywały się w Poznaniu w dniu 8 i 9 lipca b. r. przy bardzo licznym udziale strzelców z całej Polski.

Pana premjera i rząd reprezentował na zjeździe strzeleckim p. min. poczt i telegrafów Kaliński.

Prezes zarządu głównego Związku Strzeleckiego, p. mecenas Paschalski, wygłosił w czasie obrad zjazdu dłuższe przemówienie, w którem scharkateryzował dotychczasową, bardzo owocną działalność związku.

Uczestnicy zjazdu opuścili Poznań z wiarą w dalszy niepowstrzymany rozwój ruchu strzeleckiego i w wartościowość swoich poczynań.

XII OGÓLNY ZJAZD LEGJONISTÓW W WARSZAWIE.

W dniach 5 i 6 sierpnia b. r. odbędzie się w Warszawie XII Ogólny Zjazd Legjonistów pod znakiem hołdu dla Niezłomnych Polaków lat 1863 i 1904/9.

Obok hasła czci dla bojowników Wolności organizatorzy zjazdu wysuwają drugie hasło, które brzmi: „Wszyscy obywatele na strzelnice po odznakę strzelecką“. Hasło to ma na celu zwrócić uwagę ogółu na olbrzymie znaczenie strzelectwa dla siły narodu.

Peowiacy korzystają z pełni praw członków Związku Legjonistów.

Obszerne sprawozdanie ze Zjazdu Legjonistów zamieścimy w następnym numerze „Peowiaka“.

NOWY STATUT ZWIĄZKU LEGJONISTÓW POLSKICH.

Agencja „Iskra“ podaje następujący komunikat w sprawie nowego statutu Związku Legjonistów Polskich:

Z dniem 5 sierpnia r. b. wchodzi w życie uchwalony przez walny zjazd delegatów nowy statut Związku Legjonistów Polskich.

Związek Legjonistów Polskich wierny wskazaniom Wodza Narodu, Marszałka J. Piłsudskiego i sztandarom Armji Narodowej — bierze czynny udział w pracy nad rozbudową potęgi Rzeczypospolitej i jej rozwojem w kierunku demokratycznym—czytamy w paragrafie wstępnym nowego statutu, syntetyzującym cele Związku Legjonistów Polskich. Związek Legjonistów bierze najczynniejszy udział w pracy nad utrwaleniem w społeczeństwie wartości moralnych i rycerskich.

Wszyscy legjoniści, niezależnie od stałego udziału w pracach w Związku, obowiązani są do pracy publicznej na odcinku przez siebie obranym, lub przez władze Związku wskazanym

Działalność Związku rozciąga się na teren całej Rzeczypospolitej, obszar w. m. Gdańska oraz skupienia Polaków zagranicą.



Pomnik Peowiaków na cmentarzu Obrońców Czortkowa z 1919 r.

Wewnętrzne prace Związku Legjonistów obejmują: krzewienie tradycyj legjonowych, utrzymywanie wysokiego poziomu etycznego wśród członków Związku, udzielanie swym członkom pomocy moralnej i materjalnej, organizowanie pracy społecznej w szczególności w zakresie przysposobienia wojskowego oraz akcji kulturalno-oświatowej, opiekę nad grobami poległych w służbie dla ojczyzny, opiekę nad inwalidami, opiekę nad matkami, wdowami i sierotami po poległych, współpracę z pokrewnemi ideowo organizacjami w realizowaniu wspólnych celów, zbieranie i przechowywanie, względnie publikowanie materjałów dotyczących walk legjonów.

Członkowie Związku dzielą się na honorowych, którym może zostać każdy obywatel Rzeczypospolitej, gdy godność tę nada mu walny zjazd delegatów, oraz zwyczajnych, którymi mogą być legjoniści, gdy dokumentami dowiodą swą służbę w Legjonach Polskich, oraz obywatele, którzy w czasie walk legjonowych byli uwięzieni za pracę niepodległościową, a walczyli o niepodległość Polski w organizacji bojowej P. P. S., w Związku Walki Czynnej, w Związku Strzeleckim, w Drużynach Strzeleckich. Sprawa członków P. O. W. rozstrzygnięta będzie na najbliższych walnych zjazdach delegatów Związku Legjonistów i P. O. W.

Kandydatów na członków Związku Legjonistów przyjmuje oddział i przedkłada przyjęcie zarządowi okręgowemu do zatwierdzenia. Wszyscy członkowie są obowiązani brać czynny udział w pracach Związku, podporządkowywać się wszystkim uchwałom i orzeczeniom właściwych władz Związku, opłacać składki i inne świadczenia pieniężne.

Najniższą komórką organizacyjna Związku Legjonistów jest oddział, który powstaje przy udziale conajmniej 15 zwyczajnych członków. Oddziały Związku, których siedziby mieszczą się w obrębie jednego województwa tworzą okręg. Okręg powstaje przy udziale conajmniej 6-ciu oddziałów, liczących łącznie najmniej 100 członków zwyczajnych.

Władzami i organami naczelnemi Związku są: walny zjazd delegatów, prezes zarządu głównego, zarząd główny, główna komisja rewizyjna i główny sąd koleżeński.

Do kompetencji walnego zjazdu delegatów należy nadzór nad działalnością Związku, wybór prezesa i zarządu głównego oraz głównego sądu koleżeńskiego i głównej komisji rewizyjnej, zmiana statutu Związku, powoływanie komisyj specjalnych, rozpatrywanie i decydowanie wszelkich spraw wniesionych przez zarząd główny i poszczególne oddziały lub inne organa Związku, nadawanie godności członków honorowych.

Walny zjazd tworzą delegaci wszystkich oddziałów Związku.

Zarząd główny, składający się z 16 członków i 6-ciu zastępców, posiada w swych kompetencjach nadzór nad wykonywaniem statutu i uchwał władz naczelnych, zwoływanie walnych zjazdów, zwoływanie każdego roku w sierpniu ogólnego zjazdu legjonistów, oraz wykonywanie orzeczeń głównego sądu koleżeńskiego.

Dla szerzenia ideologji legjonowej oraz celem wzmożenia pracy opiekuńczej powołuje się do życia osobne stowarzyszenie pod nazwą „Rodzina Legjonowa".

NOWE LEGITYMACJE CZŁONKOWSKIE LEGJONISTÓW.

Dowiadujemy się, że zarząd główny Związku Legjonistów Polskich postanowił wprowadzić z dniem 1 sierpnia r. b. nowe legitymacje członkowskie. Będą one wydawane od dn. 1 sierpnia do dn. 1 listopada. Dla wydawania legitymacji we wszystkich okręgach i oddziałach Związku Legjonistów powstaną specjalne komisje, które opracują spis członków b. legjonistów. Wypełnianie legitymacyj przeprowadzi zarząd główny na podstawie wykazów otrzymanych z poszczególnych okręgów i oddziałów. Ponadto koła pułkowe opieczętują nowe legitymacje.

UROCZYSTE ZASADZENIE DĘBU WOLNOŚCI W KOŁOMYI.

Koło Związku Peowiaków w Kołomyi podjęło inicjatywę połączenia wysiłków peowiaków i legjonistów we wspólnej pracy, której cele w obu związkach są takie same, ścisła współpraca zapewnia jednak lepsze wyniki.

Pierwszym krokiem, zmierzającym do zadzierzgnięcia węzłów braterstwa i wzajemnego bliższego poznania się kołomyjskich peowiaków i legjonistów — było



Zasadzenie Dębu Wolności na rynku kołomyjskim przez ob. Wolanowskiego.

wspólne święcone, urządzone w dniu 29 kwietnia b. r.

Na wniosek Związku Peowiaków w Kołomyi dokonano w dniu 3 maja b. r. wspólnie ze Związkiem Legjonistów uroczystego zasadzenia pamiątkowego **Dębu Wolności** obok pomnika J. Piłsudskiego na rynku kołomyjskim — jako symbolu uwolnienia stolicy Pokucia od najeźdźców. Uroczystość sadzenia dębu odbyła się przy bardzo licznym udziale wojska i społeczeństwa i wypadła imponująco.

Dąb ten stanowić ma pomnik Wolności i przypominać będzie przyszłym pokoleniom zbiorowy wysiłek i najdroższą ofiarę krwi bohaterów przelaną za wolność i niepodległość Ojczyzny przed 14 laty.

Będzie on stanowił wyraz żelaznego hartu i nieugiętej woli Marszałka Piłsudskiego, którego postać, wykonana z bronzu, pochylona nad księgą stworzonej przez Niego historji, dumać będzie w cieniu tego dębu o potędze i świetności z trudu i znoju powstałej Ojczyzny.

FUNDUSZ PEOWIACKI

Na „Fundusz Peowiacki" wpływają dalsze wpłaty, jednak zbyt szczupłe jeszcze jest grono tych, którzy zrozumieli potrzebę dopomożenia będącym w krytycznych warunkach życiowych peowiakom. W tych rozmiarach, jak dotychczas, „Fundusz Peowiacki" nie spełni swojej dobroczynnej roli. Nękani przeciwnościami losu i nie mający pracy nasi towarzysze wspólnych trudów około wywalczenia Polsce niepodległości czekają na podanie im bratniej dłoni, ale dłoni silnej, któraby ich wprowadziła z powrotem na normalne tory życia. Śpieszmy więc z pomocą.

Obywateli, którzy zadeklarowali stałe opodatkowanie na „Fundusz Peowiacki", prosimy o regularne wpłacanie zadeklarowanych sum, najlepiej w pierwszych dniach każdego miesiąca.

Wpłaty należy uskuteczniać na konto czekowe „Peowiaka" w P. K. O. Nr. 24.961 z zaznaczeniem na odcinku blankietu celu wpłaty.

*

Na **„Fundusz Peowiacki"** wpłynęły następujące sumy:

Karol Kandziora z Poznania — zł. 5. Kazimierz Sempiński z Poznania — zł. 3, ppłk. Wacław Sokolewicz z Warszawy — zł. 10, ks. Teodor Portych z Grodziska — zł. 10, L. Jasiński z Łęczycy — zł. 10, Wincenty Tylkowski z Pińska — zł. 1. **Razem zł. 39. Ogółem wpłynęło na „Fundusz Peowiacki" zł. 208.**

KRZYŻ P. O. W.

Podajemy dalszy ciąg listy peowiaków, którzy mają do odebrania dyplomy na Krzyż P. O. W. w Komisji Krzyża, Warszawa, ul. Złota 30, m. 4, w poniedziałki i środy w godz. od 18 do 20.

2239. Kotliński Nikodem.
2244. Zdyb Jan.
2245. Gozdalski Konstanty.
2246. Proszyński Włodzimierz.
2247. Kosyra Antoni.
2248. Tuderak Antoni.
2254. Grymski Wacław.
2258. Sankowski Franciszek.
2263. Szymczak Henryk.
2270. Malanowski Wacław.
2272. Królikowski Ludwik.
2273. Wójcicki Kazimierz.
2278. Kowalczyk Franciszek
2283. Ziałka Piotr.
2284. Michalski Stanisław.
2285. Święcicki Bolesław.
2300. Studzisba Teofil.
2311. Nowicki Bolesław.
2327. Duszyński Stanisław.
2342. Horoch Jerzy.
2455. Marczak Zygmunt.
2466. Słomiński Wacław.
2522. Surawski Michał.
2543. Grabowska Ludwika.
2583. Świtalska Zdzisława.
2597. Dąbrowski Czesław.

Z KRAJU I ZAGRANICY

Dzięki zabiegom wiceministra Koca Polska uzyskała od grupy angielskich firm pożyczkę w wysokości 1 miljona 980 tysięcy funtów sterlingów, czyli około 60 miljonów złotych na elektryfikację węzła warszawskiego.

Prace elektryfikacyjne potrwają 3 do 4 lat. Wszelkie urządzenia będą wykonane w Polsce, oprócz tych instalacyj elektrotechnicznych, które u nas wykonane być nie mogą ze względów technicznych.

Zawarcie tej umowy jest dowodem wzrostu zaufania kapitałów zagranicznych do Polski.

—o—

W czasie trwania międzynarodowej konferencji ekonomicznej w Londynie została podpisana przez przedsawicieli: Polski, Afganistanu, Estonji, Łotwy, Persji, Rumunji, Turcji i Związku Sowieckich Republik Rad konwencja o definicji napastnika. Konwencja ta ma wielkie znaczenie w dziele utrwalenia pokoju na wschodzie Europy, w czem główna rola przypada Polsce.

Do konwencji tej później przyłączyła się Finlandja.

—o—

W dniu 15 lipca b. r. został podpisany w Rzymie „pakt czterech", zawarty przez Francję, Anglję, Niemcy i Włochy.

Prasa francuska uważa fakt podpisania paktu za groźbę dla Francji, która będzie tym paktem skrępowana, podczas gdy Niemcy, dopuszczone do niego na równych prawach, będą się domagały równouprawnienia na każdem polu, a więc i w dziedzinie zbrojeń.

W dniu 3 lipca b. r. złożył wizytę rządowi polskiemu prezydent senatu gdańskiego, dr. Rauschning, w towarzystwie wiceprezydenta senatu, dr. Greisera, dr. Ferbera, dr. Blume i sekretarza Streitera. Przedstawiciele wolnego miasta Gdańska byli przyjęci na zamku przez Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, poczem udali się do Prezydjum Rady Ministrów, gdzie przyjął ich w zastępstwie pana premjera min. skarbu prof. Zawadzki. Z kolei goście gdańscy złożyli wizytę p. min. spraw zagranicznych, Beckowi.

Wizyta przedstawicieli Gdańska w Warszawie świadczy o chęci senatu gdańskiego utrzymywania poprawnych stosunków z rządem polskim, co bardzo wiele pozostawiało do życzenia, gdy poprzedni senat z dr. Ziehmem na czele był przy władzy.

—o—

Rząd niemiecki nosił się z zamiarem poczynienia w Anglji poważniejszych zamówień na samoloty dla mającego powstać w Niemczech lotnictwa policyjnego. Brytyjski chargé d'affaires w Berlinie Newton zaprotestował w imieniu rządu angielskiego przeciw zapowiedzi stworzenia lotnictwa policyjnego w Niemczech, gdyż byłoby to pogwałceniem traktatu wersalskiego.

Jak widzimy, Niemcy niezwykle energicznie starają się odbudować swoją potęgę militarną, używając w tym celu różnych pozorów.

—o—

Trybunał Haski odrzucił skargę niemiecką na wykonywanie reformy rolnej w Polsce wobec przedstawicieli mniejszości niemieckiej.

Sąd Apelacyjny w Warszawie zatwierdził wyrok Sądu Okręgowego w procesie 10-ciu przywódców Centrolewu ze zmianami, wynikającemi z zastosowania nowego kodeksu karnego.

Obrona zapowiedziała złożenie skargi kasacyjnej.

ZDOBYCZE LOTNICTWA

Międzynarodowy Związek Lotniczy zatwierdził rekord światowy, osiągnięty przez kpt. Skarżyńskiego na samolocie II kategorji na linji St. Louis (Senegal) — Maceio (Brazylja). Rekord ten w prostej linji wynosi 3.582 km.

Poprzedni rekord długości lotu w linji prostej dla samolotów II kategorji należał od 1931 r. do Francji i wynosił 2.977 km.

Znakomity lotnik polski przybył już do kraju i był entuzjastycznie powitany przez tłumy na lotnisku mokotowskiem w Warszawie w dniu 2 sierpnia b. r.

—o—

W roku bieżącym zawody balonów wolnych o puhar Gordon-Benneta odbędą się w Ameryce. Na zawody te pojadą dwaj polscy lotnicy: kpt. Hynek i por. Burzyński, którzy mają już za sobą piękny wyczyn lotu balonem zwykłym do granic stratosfery (osiągnęli 10.000 metrów wysokości). Lotnicy polscy wystartują do zawodów na nowym polskim balonie „Kościuszko", wykonanym całkowicie w Wojskowych Zakładach Balonowych w Jabłonnie i zaopatrzonym w najnowsze przyrządy aeronautyczne wyrobu polskiego. Balon „Kościuszko" ma największą dopuszczalną na zawodach pojemność 2.200 m. sześc. Zapasowym balonem będzie „Polonja" o takiejże pojemności, która w ubiegłym roku zajęła w międzynarodowych zawodach balonowych 4-te miejsce.

W przewidywaniu, iż może się zdarzyć konieczność opuszczenia się na ocean, gondola jest specjalnie zbudowana, a pozatem lotnicy zabierają ze sobą łódź gumową.

Kpt. Hynek i por. Burzyński odbyli już na „Kościuszce" lot trenigowy, który wypadł zadowalająco.

—o—

Lotnik amerykański Wiley Post dokonał lotu samotnego dookoła kuli ziemskiej z Nowego Jorku, przeleciawszy około 25 tysięcy kilometrów w 7 dni 18 godzin 49 minut. Jest to nowy rekord, lepszy o 20 godzin i 2 minuty od poprzedniego rekordu, należącego również do Posta.

Próba pobicia tego rekordu, którą przed kilkoma tygodniami podjął lotnik angielski Mattern, nie powiodła się z powodu poważnego uszkodzenia samolotu Matterna w czasie wypadku na Alasce.

—o—

Lotnicy litewscy: kpt. Darius i por. Girenas, którzy przelecieli Atlantyk na samolocie „Lithuanica" i zdążali w kierun-

Łapaj złodzieja

Niedawno policja wpadła na trop szajki przemytniczej. Osaczywszy kryjówkę, przystąpiła do rewizji, w której wyniku skonfiskowano kilkadziesiąt kilogramów tytoniu i dużą ilość cygar. Korzystając z zamieszania, dwóch członków bandy wyskoczyło z okna parterowego mieszkania i rzuciło się do ucieczki. Za nimi — policjant. Przyznać trzeba, że przechodnie zachowali się prawdziwie po obywatelsku, bowiem pomogli policjantowi zatrzymać zbiegów.

Dalej — gorzej. Kilku z pośród przechodniów, którzy najczynniej pomagali policjantowi, w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku, udało się do kawiarni na pół czarnej. Tam dopiero częstować się zaczęli „prawdziwemi zagranicznemi" papierosami czy cygarami. Znalazł się jednakże w kawiarni inny obywatel, który bez zbędnych słów wezwał policjanta i prosił o wylegitymowanie owych gości. Okazało się, że palą wyroby, pochodzące z przemytu. Musieli w rezultacie wskazać, gdzie je kupowali i w ten sposób „nakryto" inny transport tytoniu przemycanego.

Nie jest to bajeczka. Miało to miejsce w Łodzi. Nam idzie tu o sens moralny. Chętnie łapiemy przemytnika, lecz nie chcemy zrozumieć, że proceder przemytniczy całkowicie uzależniony jest od pojemności rynku zbytu. Przestępcą jest konsument przemycanego tytoniu narówni z przemytnikiem, choć zawsze tłumaczy się nieświadomością. Coś tu trzeba uregulować. Nie może tak być, żeby przemytnik karany był więzieniem, a nieraz kulą karabinową strażnika granicznego, a nabywający przemycany towar bezkarnie podtrzymywał przemyt. Wyrzucanie przemytnika poza nawias społeczeństwa, pośród którego znajduje się masa „szanownych" obywateli, kupujących przemycany towar — to klasyczny sens przysłowiowego: „łapaj złodzieja"...... powiedzmy sobie prawdę.

ku Kowna, lecąc nocą nad Niemcami, trafili na burzę i spadli pod Myśliborzem w Brandenburgji. Zniekształcone ich ciała zostały przewiezione samolotem do Kowna i tam uroczyście pochowane.

—o—

Eskadra włoska gen. Balbo, złożona z 24 wodnopłatowców wojskowych, dokonała przelotu z Orbetello we Włoszech do Nowego Jorku, lądując po drodze w Amsterdamie, Londonderry, Reykjavik na Islandji, Cartwright na Labradorze, Shediac, Montreal i Chicago. Trasa lotu wyniosła 11.300 km., w tem nad Oceanem Atlantyckim dwa etapy: 1.500 km. i 2.400 km.

W czasie wodowania w Amsterdamie jeden płatowiec uległ katastrofie, w której postradał życie mechanik Quintavalle, a trzej inni lotnicy odnieśli rany.

Obecnie eskadra gen. Balbo odbywa lot powrotny do Rzymu. Z powodu złych warunków atmosferycznych nad Atlantykiem eskadra zatrzymała się na dłuższy postój w Shoal Harbourt (Nowa Ziemia).

—o—

Znana para lotników angielskich: Mollison i Amy Jonson (która dla rozgłosu szkalowała Polaków) przeleciała w 39 godzin Ocean Atlantycki na linji Staglane (Anglja) — Bridgeport (Ameryka). W czasie lądowania w Bridgeport na nieprzygotowanem na przyjęcie lotników lotnisku aparat skapotował, a Mollisonowie wyszli z katastrofy lekko ranni. Do Nowego Jorku, który był celem ich lotu, przybyli z Bridgeport samolotem pasażerskim.

XVI LISTA PEOWIAKÓW, ODZNACZONYCH KRZYŻEM LUB MEDALEM NIEPODLEGŁOŚCI.

KRZYŻ NIEPODLEGŁOŚCI otrzymali:

Abczyński Bolesław, Bednarski Jan, ś. p. Boczarski Franciszek, Jaksa-Bykowski Stanisław, Cierpiałowski Władysław, Dąbrowski Franciszek, Dyl Stefan, Dynowski Anzelm, Frankowski Ludwik, Gonera Antoni, Grzywacz Jan, Hajdukiewicz Tadeusz, por. Januszewski Mieczysław I, Karcz Władysław, Kotarba Jan, Kowalski Józef, Lach Aleksander, Latkowska z Czyżów Julja, Leszczyński Stanisław Lambert, Lewandowska z Błaszczyków Zofja, Łukasik Władysław, Łukowska Scholastyka Marja, Majewski Andrzej Marcinkiewicz Zygmunt, Michalski Jan Michałowski Antoni, Nanys Lucjan Kazimierz, Nowak Józef, Nowak Zygmunt, Pawłowski Tadeusz, podkom. P. P. Piniński Władysław, Podlewski Wacław. Preisman Izaak. Przybylski Jan, Rapczyński Stanisław, Rebzda Franciszek. Romanu Marjan, Skorek Władysław, Stankiewicz Bolesław, Starzewski Józef Wacław Bronisław, Szletyński Stefan Szymański Tadeusz, kpt. Tatarzyński Marjan, Tokarczyk Stanisław, ś. p. Wasilewski Franciszek, ś. p. Wielgosz Feliks, inż. Wilski Bogdan, Wojciechowski Józef.

MEDAL NIEPODLEGŁOŚCI otrzymali:

Adamczyk Franciszek, Strzelecka-Antoniewiczowa Czesława, Balcerowski Henryk, Baranowski Stanisław, Bartnikowski Jan, Bednarski Stanisław, Bejger Jan, Bejger Stanisław, Bełdowski Teofil, Bereszko Władysław, Bobiński Konstanty, Borowski Stanisław, Byliński Hipolit, Buczek Juljan, Budny Józef, Bukowski Henryk, Buta Władysław, Chmielewski Adam, Chmielewski Jan, Chojnacki Stanisław, Chwała Maciej, Ciastoch Jan, Ciekot Józef, Ciołek Antoni, Cudny Stanisław, Cybulski Stanisław, Czechowski Władysław, Damięcki Władysław, Danielewicz Bronisław, Daniluk Kazimierz, Dąbrowski Jan, Dąbrowski Jarosław, Dobosz Stanisław, Dobrowolski Józef, Duczek Józef, Dylągowa z Maciewiczów Zofja, Feller Wilhelm. Folejewski Franciszek. Gawron Antoni, Gawroński Teodor, Glegociński Józef, Głogowski Piotr, Głuchowski Antoni, Głuchowski Józef, Gober Stanisław, Gołębiowski Wojciech, Gołębiowski Józef, Grabowski Stanisław, Grabowski Stefan, Grochowski Zygmunt, Grzebisz Lucjan, Grzegorzewski Wacław, Grzeszczuk Władysław, Grzymała Feliks, Grzywiński Maksymiljan, Gut Józef, Gutowski Józef, Hofman Józef, por. Jabłoński Czesław, Jabłoński Ludwik, Jackowski Kazimierz, Janeczek Stanisław, Jankowski Edward, Jeruzalski Aleksander, Jurczek Józef, Jurzyk Władysław, Juściński Jan, Juszkiewicz Stanisław, Kacprzak Juljan, st. sierż. Kaczorowski Aleksander, Kaczyński Bolesław, Kalinowski Ignacy, Kamiński Jan, Karawiecki Wincenty, Kępiński Stanisław, Klamrzyński Wacław, Kleszczyńska Paulina, Kluczek Aleksander, Kłoś Antoni, Kłoś Władysław, Kocięcki Józef, Kopański Stanisław, Kosik Piotr, kom. P. P. Kosim Edmund, Kotarba Jan, Kowal Juljan, dr. Kowalewski Marjan, Kozak Franciszek, Kozioł Franciszek, Krwawicz Eugenjusz, Kryłowicz Józef, Kubat Franciszek, Kuczyńska Anna, Kurkus Hilary, Kurnatowski Zygmunt, Kurowski Wacław.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Złota 30, m. 4. tel. 698-53. Konto w P. K. O. Nr. 24-961.

Redaktor przyjmuje w poniedziałki w godz.: od 18-ej do 20-ej. Nadesłanych rękopisów Redakcja nie zwraca.

CENY PRENUMERATY: kwartalnie Zł. 1.50, półrocznie Zł. 3, rocznie Zł 6 wraz z przesyłką pocztową.
CEŃA OGŁOSZEŃ: 1/1 strony Zł. 400, 1/2 strony Zł. 225, 1/4 strony Zł. 120, 1/8 strony Zł. 70. Ogłoszenia tabelaryczne, fantazyjne i opisowe o 50% drożej.

Redaktor naczelny: Janusz Lubicz-Delinikajtis. Redaktor odpowiedzialny: Stefan Mieszkowski.

Wydawca: Zarząd Główny Związku Peowiaków.

Druk Zakł. Graf. E. i D-ra K. Koziańskich w Warszawie, Krak.-Przedmieście 66.